WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 85 25 LIPCA 1978 R CENA 1.50 ZŁ

Dziś zaczynamy druk wspomnień o niezwykłym człowieku, lekarzu, wychowawcy i pisarzu – Januszu Korczaku

str. 4

„ARCHIPELAG LUDZI ZAGUBIONYCH"

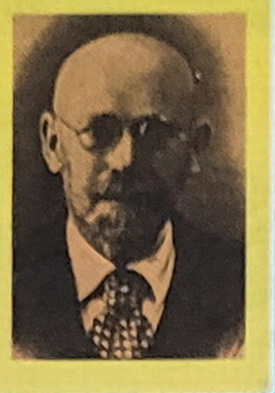

EDWARD GIEREK I PIOTR JAROSZEWICZ ODWIEDZILI ZGRUPOWANIE OBOZÓW OPERACJI „SŁUPIA – 78"

I sekretarz KC PZPR, EDWARD GIEREK i członek Biura Politycznego KC PZPR, prezes Rady Ministrów, PIOTR JAROSZEWICZ przebywali 11 bm. na ziemi słupskiej, zapoznając się z osiągnięciami i planami rozwoju tego prężnego regionu.

Goście w towarzystwie gospodarzy woj. słupskiego: I sekretarza KW PZPR, ZBIGNIEWA GŁOWACKIEGO i wojewody, JANA STĘPNIA odwiedzili wielozakładowe gospodarstwo rolne w Suchorze, Zakład Naprawczy Mechanizacji Rolnictwa w Słupsku, Człuchowski Kombinat Rolny oraz miasta: Ustkę i Bytów. To ostatnie stanowiło główny ośrodek zachodniej Kaszubszczyzny, którego ludność przez setki lat skutecznie opierała się germanizacji.

Wzruszającą patriotyczną wymowę miało wręczenie Edwardowi Gierkowi bezcennego dziś egzemplarza, wydanego w 1936 roku przez Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, elementarza dla prywatnych szkół powszechnych. Ten elementarz – jako symboliczną pamiątkę walki o polskość bytowskich Kaszubów – wręczył I Sekretarzowi KC Leon Wysiecki – były nauczyciel w latach międzywojennych szkoły polskiej w Ugoszczy koło Bytowa.

Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz wśród harcerzy Chorągwi Słupskiej

W trakcie wizyty w woj. słupskim dostojni goście spotkali się z harcerzami i instruktorami ZHP, przebywającymi na letnim zgrupowaniu obozów Operacji „Słupia – 78", zlokalizowanym na terenia „Lasku Północnego" w Słupsku, i zapoznali się z prowadzonymi tu pracami.

C.D. NA STR. 4

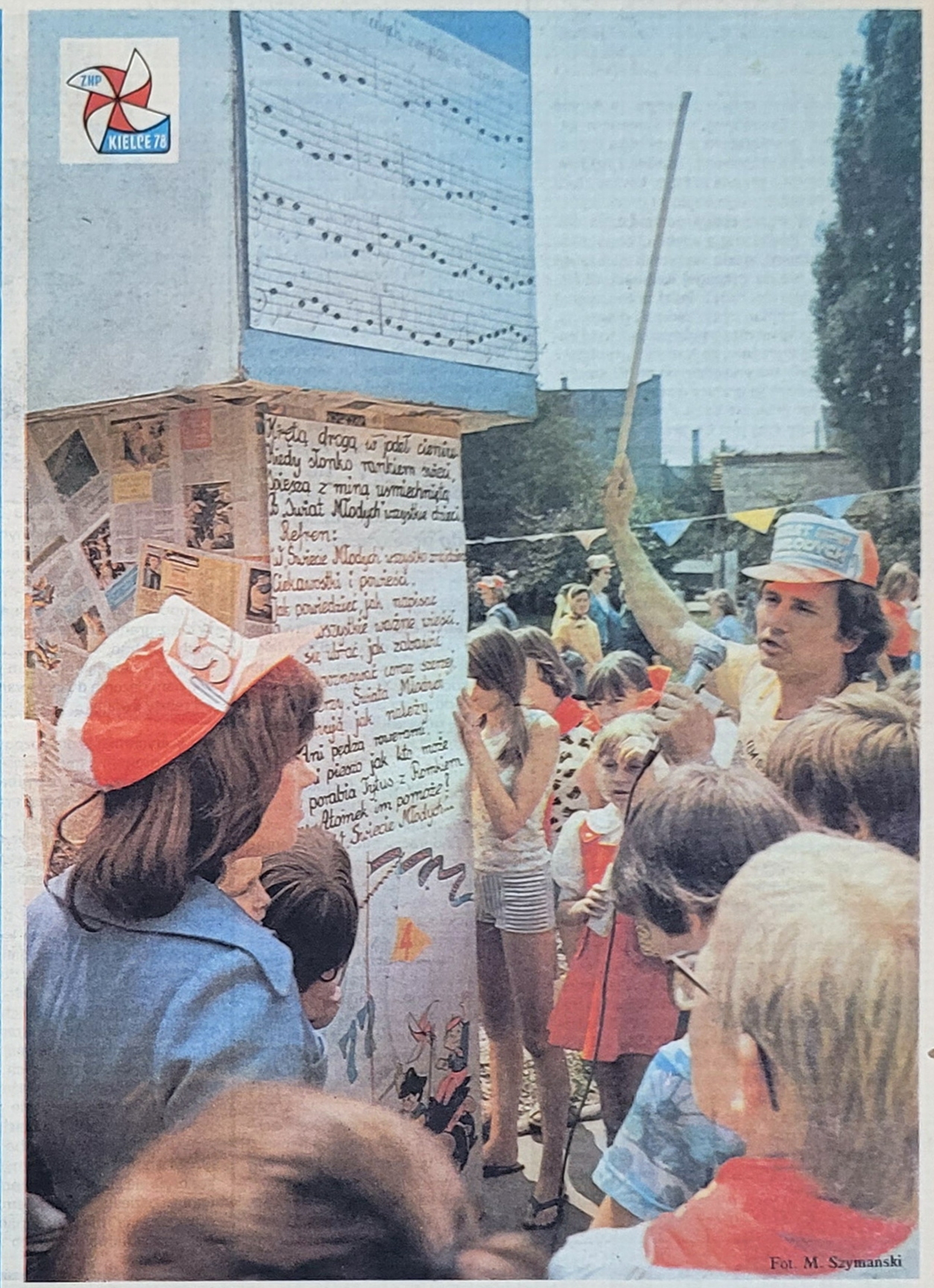

Fot. M. Szymanski

Dziś rozpoczyna się w Kielcach

V HARCERSKI FESTIWAL KULTURY MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Po raz piąty już Kielce goszczą uczestników Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej.

Zaroiły się kieleckie ulice, słychać wszędzie śpiew, gwar... Nic dziwnego, uczestników tegorocznego Festiwalu jest ponad 2,5 tysiąca. Tylu przyjechało tutaj członków harcerskich i szkolnych zespołów artystycznych – tanecznych, muzycznych, wokalnych, teatralnych, recytatorskich, klubów plastycznych... Wśród nich prawie 200 osób, to członkowie dziecięcych i młodzieżowych zespołów artystycznych z zagranicy.

Dzisiaj, o godzinie 21.00 odbędzie się pierwszy z festiwalowych koncertów. Inauguracyjny. Tradycyjnie nosi on nazwę „GOSPODARZE – GOŚCIOM", a jak nazwa ta wskazuje wszystkim przyjezdnym zaprezentują swe umiejętności harcerskie i szkolne zespoły artystyczne z Kielecczyzny.

O ważniejszych imprezach Festiwalu piszemy na str. 4

CUBA'78

Rozwiązanie konkursu „WIESZ? STARTUJ!"

Na konkurs o Kubie ogłoszony w n-rze 60 z dnia 23 maja 1978 r. „Świata Młodych" wpłynęło 2257 odpowiedzi. Spośród trafnych odpowiedzi w dniu 3 lipca br. jury konkursu zgodnie z regulaminem wylosowało nagrody:

Nagrodę I – Rower turystyczny zdobył **Maciej Małyska** Osiedle Wielkiego Października 1e m 49, 61-628 Poznań;

Nagrodę II – 2000 złotych otrzymuje **Paweł Krykwiński** ul. Toruńska 78 m 9, 88-100 Inowrocław;

Nagrodę III – 1500 złotych otrzymuje **Jan Gutorski** ul. Joteyki 12 m 9, 02-317 Warszawa;

Nagrodę IV – 1000 złotych otrzymuje **Jolanta Kaliszek** ul. Kościuszki 14 m 10, 86-100 Świecie n/Wisłą.

Sześć nagród rzeczowych otrzymują:

1. **Danuta Piasecka** ul. Chocimska 8 m 3, 49-300 Brzeg;
2. **Krystyna Olszewska** – ul. Okopowa 8 m 3, 12-200 Pisz;
3. **Piotr Jaworski** – ul. Krępowieckiego 11a m 79, 01-456 Warszawa;
4. **Stanisław Krusiński** – ul. Siemiradzkiego 16, 20-455 Lublin;
5. **Janusz Wojnowski** – ul. Jęczmienna 29 m 22, 53-507 Wrocław;
6. **Szczepan Kalinowski**– ul. Garbarska 19, 21-350 Międzyrzec Podl.

Zwycięzcom tego trudnego konkursu gratulujemy. Nagrody zostaną przesłane przez redakcję „ŚM" na ich adresy w miesiącu sierpniu 1978.

Jury Konkursu

UWAGA, UWAGA!

Na str. 5 zamieszczamy pierwsze sprawozdanie z 4 RAJDU ROWEROWEGO XXX-LECIA „ŚWIATA MŁODYCH".

W roli reportera – sam Papcio Chmiel! Towarzyszy mu...

No, ale przeczytajcie już na str. 5.

Dla „Daru Młodzieży"

WROCŁAW (HSI). Inicjatywa budowy następcy „Daru Pomorza" – „Daru Młodzieży" – spotkała się z żywym przyjęciem wśród żołnierzy Śląskiego Okręgu Wojskowego, szczególnie w zarządzie ZSMP pododdziału inżynieryjno-budowlanego, gdzie podjęto uchwałę o przekazaniu na budowę „Daru Młodzieży" 5 tys. złotych, pochodzących głównie ze składek.**(jar)**

Na politycznej scenie

Namibia – krok naprzód

Ostatnio na „białej twierdzy" w Afryce Południowej pojawiła się nowa rysa, zapowiadająca być może pewne osłabienie władzy białych ludzi na krańcu czarnego kontynentu. Po piętnastomiesięcznych negocjacjach, zostało zawarte porozumienie w sprawie niepodległości Namibii. Zanim jednak wyjaśnimy szczegóły tego porozumienia, przypomnijmy pokrótce co to jest Namibia.

Namibia jest krajem leżącym w Afryce Południowo-Zachodniej nad Oceanem Atlantyckim, graniczącym z Republiką Południowej Afryki, Botswaną, Zambią i Angolą. Powierzchnia – prawie 824 tys. km kw., ludność – 890 tys. z czego około 11 proc., stanowią biali w dużej części pochodzenia niemieckiego. Wielki kraj, z wielkimi bogactwami naturalnymi, gdzie wszystko należy do białych, a nic do rdzennej ludności. W Namibii znajdują się: rudy miedzi, uranu, wanadu, ołowiu, cynku, cyny, kadmu i diamenty. Gdy patrzymy na mapę polityczną Afryki widać na niej wyraźnie, że Namibia graniczy z RPA i tak się też wszędzie pisze. W rzeczywistości jednak ta granica pozostaje od wielu, wielu lat w sferze iluzji. Praktycznie cały ten ogromny kraj jest bezprawnie administrowany przez państwo rasistowskie – RPA. Namibia, która teoretycznie jest terytorium powierniczym ONZ, nominalnie zarządzanym przez Radę ONZ d/s Namibii i mianowanego przez Zgromadzenie Ogólne NZ komisarza, w rzeczywistości podlega władzy ustawodawczej i wykonawczej RPA. A ponieważ od kilku lat przybiera na sile walka narodowo-wyzwoleńcza afrykańskiej ludności a i w sąsiedniej Angoli wszystko poszło nie po myśli rasistów z Południa, RPA utrzymuje w Namibi potężny garnizon wojskowy liczący około 50 tys. żołnierzy. Służy on do walki z siłami narodowo-wyzwoleńczymi SWAPO (Organizacja Ludu Afryki Południowo-Zachodniej) oraz dokonuje wypadów do sąsiedniej rewolucyjnej Angoli.

Po przypomnieniu tych faktów, możemy już powrócić do sygnalizowanego na wstępie wydarzenia – porozumienia w sprawie niepodległości Namibii. Jest ono wynikiem negocjacji między przedstawicielami pięciu państw zachodnich: USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Kanady i RFN, a SWAPO. Odrębne rozmowy toczyły się między delegacją wspomnianych państw zachodnich a rządem RPA. Porozumienie przewiduje przeprowadzenie w końcu br. wyborów powszechnych w Namibii, których przebieg ma być nadzorowany przez ONZ. Plan zakłada ograniczenie liczebności wojsk RPA do 1,5 tys. żołnierzy oraz wysłanie do Namibii sił pokojowych ONZ. Jakkolwiek przedstawione przez Zachód propozycje w sprawie Namibi niezadowalają w pełni SWAPO, zostały przez ten ruch zaaprobowane, ponieważ w chwili obecnej nie istnieje żadna inna możliwość uregulowania problemu Namibii.

(jk)

Za 3 dni w Hawanie

POLUBIĆ SIĘ I ZROZUMIEĆ

Towarzyszyłem kiedyś grupie młodzieży z Wielkiej Brytanii. Trasa naszej podróży po Polsce wiodła przez Śląsk. W Katowicach gospodarze – zaraz po przyjeździe – przedstawili co chcą nam pokazać. Między innymi kopalnię. Goście nie zgłosili żadnych uwag, ale wyczułem, że po tej rozmowie zrobili się jacyś nerwowi. Wieczorem nie mieli ochoty – jak w poprzednich dniach – ani na pogawędki, ani na spacer. Kiedy następnego dnia zjeżdżaliśmy w dół do kopalni, jedna z dziewczyn zrobiła się blada jak ściana.

– Zrobiło ci się słabo, Jenny? – zapytałem.

– Źle znoszę jazdę windą – wyjaśniła.

Kiedy wyjechaliśmy z powrotem na powierzchnię, w Anglików jakby nowy duch wstąpił. Zaczęli dowcipkować, tak rozbawionych nie widziałem ich od przyjazdu.

O przyczynie tej huśtawki nastrojów opowiedzieli mi dopiero w czasie pożegnalnej kolacji. Ktoś – tam, w Wielkiej Brytanii – nastraszył ich przed wyjazdem, że w komunistycznej Polsce takich jak oni zaprasza się uprzejmie do zwiedzenia kopalni, a potem człowiek już do końca życia nieba i słońca nie ogląda. Mówili, że nie bardzo w to wierzyli, ale kiedy im zaproponowaliśmy zjazd pod ziemię...

Parę lat wcześniej może by mnie to i nie zdziwiło. Ale zaczynały się lata sześćdziesiąte i „zimna wojna" należała już właściwie do przeszłości.

Za trzy dni, 28 lipca, na Estadio Latino-Americano w Hawanie z udziałem ponad 16 tys. delegatów z całego świata rozpocznie się uroczyście XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Odbędzie się on w 31 lat po pierwszym, który gościł w Pradze w Czechosłowacji.

Idea światowych festiwali młodzieży zrodziła się w latach „zimnej wojny". Inicjatorem ich była Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej, powołana do życia 10 listopada 1945 r. w Londynie. W zamiarach swych założycieli, przedstawicieli młodzieży całego świata, miała ona stać się ośrodkiem dyskusji, porozumienia się i wspólnych działań wszystkich młodych ludzi naszego globu. **Miała jednoczyć – takim zresztą założeniem kieruje się do dziś – ruchy młodzieżowe reprezentujące różne ideologie, poglądy polityczne, wyznania, kolory skóry.**

Ale już wówczas w sztabach wojskowych USA i innych państw imperialistycznych przygotowywano się do uderzenia na obóz państw socjalistycznych – na razie w formie „zimnej wojny". W rok później stała się ona faktem. Z inspiracji sił imperialistycznych dokonano rozłamu w światowym ruchu młodzieżowym, powołano konkurencyjne do ŚFMD międzynarodowe organizacje młodzieży. Wzdłuż granic krajów socjalistycznych Zachód rozwiesił „żelazną kurtynę", usiłując przy tym wmówić nam dążenie do izolowania się od reszty świata.

Natychmiast po rozpoczęciu „zimnej wojny" ŚFMD zdała sobie sprawę, że trzeba przeciwdziałać wytworzonej sytuacji, przebić „żelazną kurtynę". Tę rolę spełnił praski festiwal i kilka następnych, które odbyły się w Budapeszcie, Berlinie, Bukareszcie, Warszawie i Moskwie.

Odbywały się one pod hasłem „O pokój i przyjaźń". Na każdym z nich stolice państw socjalistycznych gościły od kilkunastu do dwudziestu kilku tysięcy delegatów z całego świata. Wielu z nich przyjeżdżało nielegalnie. Program festiwali pozwalał poznawać osiągnięcia naszych krajów, ich życie, nawiązywać mocne przyjaźnie.

Dwa następne festiwale odbywały się w Wiedniu i w Helsinkach w latach 1959 i 1962. Próba izolowania krajów socjalistycznych zakończyła się już bowiem w połowie lat sześćdziesiątych fiaskiem. „Żelazna kurtyna" nie wytrzymała próby czasu. Jedno ze swych zadań festiwale wypełniły, nie dopuściły do zerwania łączności. Ale nadal aktualne pozostało drugie – przełamywanie rozbicia światowego ruchu młodzieży. Stolice państw neutralnych – Austrii i Finlandii stwarzały dogodne warunki dla tego celu. Dla wielu organizacji różniących się od nas ideowo i politycznie łatwiejsze było podjęcie decyzji o udziale w festiwalu tam się odbywającym.

Ostatnie dwa festiwale gościły w Sofii i Berlinie. **W pełniejszy sposób została sprecyzowana platforma ruchu festiwalowego. Znalazło to wyraz w rozwiniętym haśle: „O antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń". Jest to również hasło XI Festiwalu.**

Narodowe komitety festiwalowe działają w 125 krajach jednocząc wokół idei Festiwalu „Hawana 78" ok. 1800 organizacji młodzieżowych. Ale przybędą również na Kubę delegacje z krajów, w których tamtejsze organizacje nie zdołały się porozumieć w sprawie powołania wspólnego komitetu. Łącznie można się spodziewać przedstawicieli młodzieży z ok. 160 krajów.

Najpowszechniej działają narodowe komitety festiwalowe w Europie i Ameryce Łacińskiej, praktycznie we wszystkich krajach. Jest to zrozumiałe. W Europie ruch festiwalowy ma najdłuższe tradycje – duże jest też zainteresowanie programem festiwalu, a zwłaszcza sprawami pokoju, odprężenia, rozbrojenia. W Ameryce Łacińskiej na rozmach przygotowań do Festiwalu wpływał przede wszystkim fakt, że odbywa się on na Kubie.

Z Afryki spodziewany jest udział wszystkich liczących się w tej części świata organizacji. Z Azji udział wezmą m. in. liczne i reprezentatywne delegacje młodzieży z Wietnamu, Indii, Japonii i Afganistanu. Ze Stanów Zjednoczonych i Kanady przybędzie na Kubę ponad 600 delegatów, dość licznie reprezentowane będą też kraje arabskie.

Ale nie tylko ta geograficzna reprezentacja na festiwalu jest ważna. Jeszcze istotniejszy jest fakt, że w poszczególnych delegacjach narodowych uczestniczą organizacje reprezentujące bardzo szeroki wachlarz poglądów – od komunistów i socjalistów do chrześcijańskich demokratów i konserwatystów. W Finlandii np. w narodowym komitecie festiwalowym działa aż 68 organizacji.

Dopiero bowiem ten szeroki wachlarz i krajów, i organizacji o różnych orientacjach politycznych pozwala na stwierdzenie, że uczestnicy Festiwalu „Hawana 78" mogą uważać się za reprezentację młodzieży świata i mają prawo zabierać głos w jej imieniu.

Przygotowaniami do Hawańskiego Festiwalu – taka jest tradycja wszystkich festiwali – kierował Międzynarodowy Komitet Festiwalowy. Bieżącymi pracami zajmowała się Stała Komisja Przygotowawcza, składająca się z reprezentantów 6 międzynarodowych i 29 krajowych organizacji, m.in. działa w niej FSZMP. Wśród międzynarodowych organizacji – jest to novum – bardzo aktywnie uczestniczyła w przygotowaniach Międzynarodówka Młodzieży Socjalistycznej. Miał więc prawo stwierdzić **przewodniczący ŚFMD, Ernesto Ottone Fernandez** na konferencji prasowej w Warszawie, że **osiągnięty został wyższy stopień współpracy młodzieży, a w czasie festiwalu to wzajemne zrozumienie powinno się pogłębić.**

Są oczywiście siły związane z imperializmem, które utrudniały przygotowania do festiwalu. Działania przeciw festiwalowi inspirowane były też przez stronę chińską. Te przeciwdziałania szły w kierunku osłabiania propagandy festiwalu oraz zabiegów mających spowodować nieuczestniczenie różnych krajów w festiwalu. W Afryce była nawet próba zorganizowania konkurencyjnego festiwalu w Gabonie. W większości działania te spaliły na panewce.

XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Hawanie różnić się będzie nieco od poprzednich. Znacznie więcej znajdzie się w nim elementów politycznego forum dyskusyjnego młodzieży świata, mniej – karnawałowych. W sześciu centrach toczyć się będą nieprzerwane obrady i dyskusje na tematy najbardziej angażujące młode pokolenie Ziemi.

Utkwił mi w pamięci jeden wieczór w czasie X Festiwalu w Berlinie. Oficjalny program dnia dobiegł końca – opustoszały sale koncertowe, zakończyły się zabawy na placach. Ale niewielu delegatów udało się na spoczynek. Na Aleksanderplatz, Unter den Linden Alee, na Friedrichsstrasse, na innych ulicach śródmieścia kilku-, kilkunastoosobowe grupy delegatów toczyły zacięte dyskusje do rana. Brak słów uzupełniały gesty, rozognione twarze. W takich wielogodzinnych sporach rodziło się porozumienie. I przyjaźnie.

Tak będzie i w Hawanie.

JERZY MAJKA

THONG NHAT

Na postrzępionych łachmanach napis „poszkodowany emigrant chiński", twarz posmarowana farbą imitującą krew i ślady pobicia – taki wizerunek ludzi opuszczających Wietnam prezentują swojemu społeczeństwu chińskie środki masowego przekazu. W gazetach pojawiają się mapki nadgranicznej, wietnamskiej prowincji Kaolang, na których wszystkie nazwy podane są w chińskim brzmieniu, sugerując, że są to rejony należące do Chin. Zanotowano także kilka ataków na wietnamskie placówki graniczne. Są to tylko nieliczne przykłady nasilających się w różnych formach napaści Chin na Socjalistyczną Republikę Wietnamu.

Informacje o zaostrzającym się konflikcie między tymi dwoma państwami docierają do nas już od kilku miesięcy. Powodem rozbieżności, a raczej pozorem, który służy Chinom do rozpętywania antywietnamskiej kampanii są tzw. Hoa czyli zamieszkująca Wietnam ludność pochodzenia chińskiego. W Pekinie uznano, że są oni prześladowani i zażądano od władz wietnamskich, aby umożliwiły im powrót do ojczyzny. Pomimo powołania specjalnej komisji, która zajęła się sprawą repatriacji Hoa – ocenia się, że w Wietnamie mieszka ich ponad milion – dość szybko doszło do dalszego zaostrzenia stosunków między Chinami i Wietnamem. Przedstawiciele chińscy chwycili się metod, które od dawna uznawane są za absolutnie niezgodne z zasadą sprawiedliwego rozstrzygania wszelkich sporów międzynarodowych. Uciekli się do prowokacji oraz żądań, których spełnienie byłoby równoznaczne z naruszeniem niezależności Wietnamu. Bo tak tylko ocenić można np. chiński postulat, aby na terytorium Wietnamu mogły działać – niezależnie od władz wietnamskich – chińskie komisje, które zachęcałyby, a nawet wymuszały na swoich rodakach decyzje powrotu do ojczyzny.

Nie inaczej jak prowokacją można także określić wezwania płynące z Pekinu, aby Hoa nielegalnie opuszczali Wietnam, a następnie przedstawiano uciekinierów jako uchodźców, którzy musieli opuścić Wietnam ze względu na okrutne prześladowania. Gdy zawiodły takie metody, w Pekinie postanowiono całkowicie wstrzymać pomoc techniczną i gospodarczą dla odbudowującego się ze zniszczeń wojennych Wietnamu oraz wycofano wszystkich chińskich doradców i specjalistów.

Są to posunięcia odsłaniające prawdziwy cel chińskiej polityki wobec swojego mniejszego i słabszego sąsiada. Sprawa Hoa służyła tylko za wygodny punkt zaczepienia. Chodzi o ukaranie Wietnamu za śmiałość prowadzenia własnej polityki, za wybieranie przyjaciół zgodnie z narodowym interesem, za przystąpienie do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Gdy okazało się, że Wietnam zdecydowanie pragnie być krajem niezależnym, to natychmiast Chiny postanowiły przywołać go do porządku, zachęcając Kambodżę do wywoływania starć zbrojnych na granicy z Wietnamem.

Już od wielu lat Chińczycy mieszkający poza granicami ojczyzny wzbudzają duże zainteresowanie władz chińskich, bowiem w wielu krajach Azji południowo-wschodniej tworzą oni duże kolonie. Mają one zazwyczaj spory wpływ na sytuację wewnętrzną tych państw, jako że ludność chińska zajmuje się najczęściej handlem lub drobną wytwórczością.

Podobnie do niedawna było w Wietnamie. Duże grupy ludności Hoa zamieszkują na południu kraju. W ich rękach skupiona była duża część prywatnego handlu i niewielkich wytwórni przemysłowych. Władze wietnamskie od pewnego czasu przystąpiły na południu do upaństwowienia handlu i drobnych przedsiębiorstw. Akcją objęto także te, które należały do ludności Hoa. Kroki te podyktowane były m.in. spekulacją, jaką prowadzili prywatni kupcy, co w poważnym stopniu utudniało unormowanie sytuacji gospodarczej w całym Wietnamie. Chiny wykorzystały ten akt jako pretekst do swojej interwencji. Najdziwniejsze jest jednak to, że pomimo akcji władz wietnamskich na listy chętnych do wyjazdu do Chin – spośród miliona Hoa – zapisało się niewiele ponad 2 tys. osób.

W Wietnamie oskarżenia chińskie przyjęto ze zrozumiałym oburzeniem. W rozmowach z Wietnamczykami, w prasie, radiu i telewizji często słychać obecnie słowa: „Thong Nhat" – oznaczają one jedność całego narodu. Jest to najlepsza odpowiedź, jaką można dać na chińskie prowokacje.

KRZYSZTOF WARD

W KRĘGU PRZYJAŹNI

Kolejnemu z naszych wspólnych wakacyjnych tygodni patronuje bratek. Kwiat, który jest symbolem przyjaźni. Sama wszak nazwa tego kwiatka wywodzi się od słowa ,,brat'', nic więc dziwnego, że stylizowany bratek jest od wielu lat znakiem graficznym największych na naszym globie spotkań przyjaźni – Światowych Festiwali Młodzieży i Studentów. Za trzy dni odbędzie się w Hawanie, stolicy Kuby – pierwszego socjalistycznego państwa na zachodniej półkuli, uroczystość otwarcia XI Festiwalu Młodzieży. Spotka się na nim młodzież z całego świata, młodzież na całym świecie – śledzić będzie z uwagą przebieg festiwalu, towarzyszyć będzie myślami jego uczestnikom. My również, Wasz wakacyjny zastęp – też.

ZADANIE NR 1

Festiwalowe ognisko

Proponujemy, abyście zorganizowali je pojutrze, 27 lipca, w przeddzień inauguracji XI Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Zaproście na nie wszystkich Waszych przyjaciół – Waszego opiekuna, rodziców, koleżanki i kolegów.

Czasu jest niezbyt wiele, więc do przygotowań trzeba wziąć się ostro. Spróbujcie usiąść w spokoju na godzinkę i przypomnijcie sobie jakie znacie piosenki i wiersze mówiące o przyjaźni, o pokoju, o solidarności, o radości. Można sięgnąć do książek i śpiewników, ale chyba nie będzie to konieczne, najwyżej w celu przypomnienia sobie dokładnego ich brzmienia. Wybierzcie kilka (3–5) piosenek i wierszy, które złożą się na repertuar Waszego ogniska. Rozdzielcie wiersze między najlepszych recytatorów (niech się nauczą ładnie je deklamować), a piosenki przećwiczcie kilka razy chórem. Może uda się dobrać do nich jakiś akompaniament? Dobrze by było.

Jeśli macie większe ambicje teatralne i uważacie, że dacie radę, możecie pokusić się o jakąś inscenizację. Np. fragmentu jakiejś książki czy, któregoś z wybranych do repertuaru wierszy. Dobrze byłoby również, gdyby jedno z Was (albo dwie osoby) pełniło rolę gospodarza ogniska-prezentera. Gospodarz-prezenter wita najpierw zebranych gości, mówi z jakiej okazji się spotkaliście i zapowiada (trzeba przygotować teksty tych zapowiedzi) każdy z kolejnych punktów programu.

Oczywiście ta tzw. część artystyczna ogniska w Waszym wykonaniu nie może być zbyt długa (przede wszystkim czasu nie ma na przygotowanie dłuższego programu), ognisko powinno się zakończyć wspólną zabawą – tańcami, korowodem. Jeśli większość gości to Wasi rówieśnicy (z góry to przecież można przewidzieć), może warto zaplanować bal kostiumowy połączony z wyborem najciekawszego kostiumu. Oczywiście przebieracie się za przedstawicieli różnych narodów (wszak to światowy festiwal).

Na początku ogniska dobrze byłoby wręczyć przybyłym gościom jakieś drobniutkie symbole festiwalowe – np. wycięte z kartonu znaczki festiwalowe lub symbolizujące ten tydzień bratki (wraz ze szpilkami do ich przypięcia). Jeden duży znaczek festiwalowy (wydrukowany obok) warto natomiast umieścić w widocznym miejscu w charakterze ogniskowej dekoracji. A może będziecie w stanie zrobić ich więcej, różnej wielkości – byłoby bardzo ładnie.

ZADANIE NR 2

Kuba znana i nieznana

Tegoroczny, XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, po raz pierwszy odbywa się poza granicami Europy, bardzo daleko. Ale Kuba, choć tak daleko od Polski położona, nie jest nam całkiem nieznana. Już w czasie przygotowań do Festiwalu ogromnie wzbogaciliśmy swoją wiedzę o tym kraju – ukazało się mnóstwo artykułów w różnych czasopismach, dużo pisał na temat Kuby również ,,Świat Młodych''. Proponujemy Wam, abyście w czasie trwania Festiwalu uporządkowali nieco swoją wiedzę o tym kraju. Możecie to zrobić zarówno w formie konkursu-quizu (tylko dla Waszego zastępu, albo z udziałem innych zastępów lub kolegów nie biorących udziału w NAL) jak i formie albumu o Kubie czy wystawy, którą urządzicie w swojej bazie. Jak wolicie, choć nam wydaje się, że quiz będzie najciekawszy.

Namawiamy Was natomiast do sporządzania na bieżąco ,,albumu festiwalowego'', w którym gromadzić będziecie wycinki z gazet i czasopism dotyczące o samym przebiegu festiwalu.

ZADANIE NR 3

Piszę do ciebie z daleka

Każdy z Was miewa kłopoty, napotyka na trudności i problemy. W gruncie rzeczy jednak dzieciństwo każdego z Was było i jest szczęśliwe. A są przecież takie kraje, w których Wasi rówieśnicy narażeni są na głód, wojnę, pozbawieni możliwości nauki, leczenia, beztroskiej zabawy. W takiej sytuacji sam fakt, że ktoś myśli, że jest przyjacielem, choć nieznanym, ale serdecznym – znaczy ogromnie wiele. Pomyślcie o swoich rówieśnikach z Chile i Palestyny, wyślijcie do nich kartki z pozdrowieniami oraz wyrazami solidarności! Możecie je wysyłać na adres Sekretariatu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej (**DIVSZ, Budapest, Ady utca 2, Węgry** – znaczek jak na list krajowy). Dobrze by było, jeśli nie będzie to zwyczajna kartka kupiona za złotówki w kiosku, ale wykonana własnoręcznie – starannie i bardzo pięknie, z sercem.

ZADANIE NR 4

Niespodzianka

Jest to zadanie indywidualne, dla każdego z Was do wykonania oddzielnie. Polega na sprawieniu jakiejś niespodzianki swojej najlepszej przyjaciółce lub przyjacielowi. Co to ma być za niespodzianka – sami wiecie najlepiej, najlepiej znacie swoich przyjaciół, najlepiej znacie ich marzenia i domyślacie się, czym moglibyście im sprawić radość. Bo musi to być niespodzianka sprawiająca dużą radość.

ZADANIE SPECJALNE NR 7

Jest to również zadanie indywidualne. Polega na tym, że każdy z Was ofiarowuje jeden malutki bratek swojemu najlepszemu przyjacielowi lub najlepszej przyjaciółce. W meldunkach niech każdy z Was napisze (czekamy na meldunki indywidualne) kto jest jego najlepszym przyjacielem, jak się nazywa, ile ma lat, gdzie mieszka, co w nim najbardziej ceni, za co go lubi, w jakim momencie przekonał się, że jest to jego najlepszy przyjaciel.

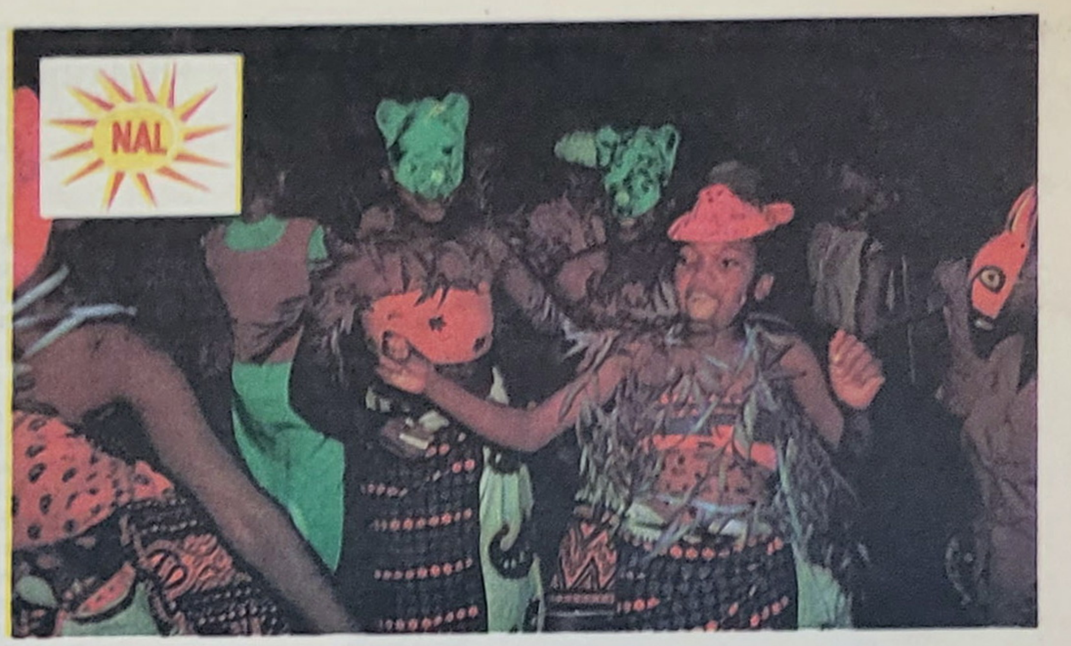

Autorzy pierwszych 50 meldunków, które nadejdą do redakcji, otrzymują po 1 punkcie dla swojego województwa – chodzi o punkty zaliczane w trwającym KONKURSIE 49. Na kopertach napiszcie – Konkurs 49 oraz narysujcie, lub wytnijcie z gazety i naklejcie wizerunek bratka.

KONKURS 49

Nie podajemy dzisiaj aktualnej punktacji (w dalszym ciągu na pierwszym miejscu Tarnów) poświęcając miejsce na kilka uwag. Kochani! Nie będziemy mogli ,,zaliczyć'' meldunków o treści: ,,Meldujemy, że zadanie specjalne nr taki a taki nasz zastęp wykonał''. Ogromnie zależy nam na wiadomościach, w jaki sposób dane zadanie specjalne zostało wykonane, a przede wszystkim KOMU (konkretnie) i ZA CO (też konkretnie) Wasz bukiet w danym tygodniu podarowaliście. Czekamy na interesujące i bardziej szczegółowe meldunki!

Życzę Wam, aby tydzień ,,pod bratkiem'' upłynął wesoło i słonecznie!

SZEF REDAKCYJNEGO SZTABU NAL

WYŻEJ KŁADŹ POPRZECZKĘ

Kolarski tor przeszkód

Każdy umie chyba jeździć na rowerze, prawda? Jeżeli są w waszej grupie tacy, którzy tego nie potrafią, będą stanowić komisję sędziowską proponowanych dziś zawodów – kolarskiego toru przeszkód. A oto przykładowe konkurencje toru oraz punktacja:

1. Napompowanie koła, z którego wypuszczono powietrze. Punktacja: I miejsce, czyli najkrótszy czas – 3 pkt., II miejsce – 2 pkt., III miejsce – 1 pkt.
2. Przejechanie odcinka długości 10 m i szerokości 1 m w jak najdłuższym czasie. Punktacja za miejsca jak wyżej.
3. Przejechanie odcinka długości około 100 m w czasie możliwie najkrótszym.
4. Wykonanie na rowerze jak najmniejszego kółka. Można narysować kilka kół o różnych średnicach. Każdemu zawodnikowi zalicza się to koło, które objedzie po łuku nie dotykając nogą ziemi. Za objechanie najmniejszego koła przyznajemy największą ilość punktów.
5. Przejechanie jak najdłuższego odcinka siłą rozpędu (czyli nie kręcąc pedałami).
6. Wrzucenie do postawionych koszyków piłeczek, kamyków lub szyszek, oczywiście w trakcie jazdy. Za każdy celny rzut – 1 pkt.

O zwycięstwie w kolarskim torze przeszkód, indywidualnym lub zespołowym, decyduje suma zdobytych punktów. Wszyscy jeżdżą na tym samym rowerze. Zawody, jeżeli uznacie to za słuszne, można przeprowadzić w poszczególnych kategoriach wiekowych. Nie wykluczamy innych, wprowadzonych przez was przeszkód. Dodatkową konkurencją może być np. sprawdzian ze znajomości znaków drogowych, zasad poruszania się po jezdni itp. Życzymy powodzenia!

Na olimpijskim szlaku

DZIEWCZYNA O BEZKONKURENCYJNYM UŚMIECHU

Gdy się ma trzynaście lat, to trudno myśleć poważnie o życiowych planach. Chodzą wtedy jeszcze po głowie dziecinne myśli i bliżej nieokreślone marzenia. A jak ktoś ma bujną wyobraźnię, to widzi siebie w tych marzeniach bohaterem dramatycznych zdarzeń, na wzór bohaterów przeczytanych książek, obejrzanych filmów czy zasłyszanych legend.

Jola Januchta nie miała jednak wybujałej fantazji, ani też jakiejś szczególnej pasji, która by ją wyróżniała z grona koleżanek. Taka sobie zwyczajna dziewczyna, ani lepsza, ani gorsza od innych. Tylko otaczający ją ludzie twierdzili, że jej uśmiech jest najsympatyczniejszy i bezkonkurencyjny. I pozostał chyba do dziś, bo fotoreporterzy uganiają się za nią, kiedy pojawi się na bieżni stadionu.

Trudno dziś przewidzieć, jakby się potoczyły losy Joli, gdyby dziesięć lat temu Jerzy Linnert nie ,,narozrabiał'' w sportowym życiu Szkoły Podstawowej nr 13, do której uczęszczała w swym rodzinnym mieście Bielsku-Białej. Pod względem wzrostu nie należała i nie należy do ,,żyraf'', ale wcale jej to nie przeszkadzało grać w koszykówkę. Nawet nie spostrzegła, kiedy ta gra stała się jej pierwszą i najprawdziwszą pasją. Grała i biegała, jak wszyscy. Wtedy nie było jeszcze mowy o sportowym wyczynie.

Do pierwszego występu w biegach przełajowych o mistrzostwo szkoły nie przygotowywała się specjalnie, ale wśród szóstoklasistek była najlepsza i po raz pierwszy dostąpiła zaszczytu reprezentowania ,,trzynastki'' na mistrzostwach Bielska. Nikt nie rozbudzał w niej ambicji, że i w tych zawodach będzie pierwsza, nikt też nie mówił o honorze szkoły. I dobrze, bo mogłaby siebie i innych rozczarować. Zajęła trzecie miejsce i zebrała sporo gratulacji, okazało się bowiem, że to sukces. I to zadecydowało, że skierowano ją na treningi do MKS Beskidy. Właśnie skierowano, bo sama do nich się nie paliła.

Rok 1970. Żegnaj szkoło – witaj szkoło! Jola rozpoczęła naukę w Technikum Budowlanym. Trener z MKS-u, Jan Mazur, był tu nauczycielem wychowania fizycznego. Skończyła się więc dla Joli bumelka na treningach, a zaczęła solidna i mozolna praca, regularne ćwiczenia kondycyjne, bieganie na średnich dystansach, starty w różnych sprawdzianach i poważnych imprezach. W Igrzyskach Młodzieży Szkolnej w Szczecinie, które do dziś z nutką sentymentu wspomina, pobiegła na dystansie 600 m. Osiągnęła nie tylko zwycięstwo, ale i pierwszy w życiu rekord Polski młodziczek. Była szczęśliwa, zadowolona z siebie i wdzięczna swojemu trenerowi. Tak się zaczęła następna po koszykówce sportowa pasja Joli. Od tego momentu na jej dalsze losy zaczęli wpływać inni ludzie – trenerzy, koledzy z klubu i nawet kibice.

Już w następnym roku Januchta uczestniczy w obozach centralnych. Zmienia też klub, z konieczności. Trudno w tym miejscu pisać o przyczynach rozpadnięcia się wielce zasłużonego dla sportu szkolnego i wyczynowego MKS Beskidy. Fakt jest faktem. Jola nie rozstaje się jednak ze swoim trenerem i wychowawcą, Janem Mazurem. To ten, który był też pierwszym wychowawcą słynnego sportowca Jerzego Pietrzyka. Razem z nim i grupą koleżanek i kolegów przechodzi do gliwickiego Piasta. I w tym klubie passa sukcesów Joli trwa. Startuje na zawodach międzypaństwowych i w kraju. Wygrywa, bije rekordy i... przegrywa. Umie przegrywać, żadna porażka nie załamuje jej, nie zniechęca. A w sporcie wyczynowym jest to ogromnie ważne.

18-letnia zawodniczka staje się żelazną reprezentantką w meczach drużyn młodzieżowych. Stanęła również na starcie Mistrzostw Europy Juniorów w Duisburgu. Zajęła tam ,,zaledwie'' szóste miejsce, ale ustanowiła w finałowym biegu na 800 m nowy rekord Polski 18- i 19-latek. Daleko jednak jeszcze do europejskiej czołówki.

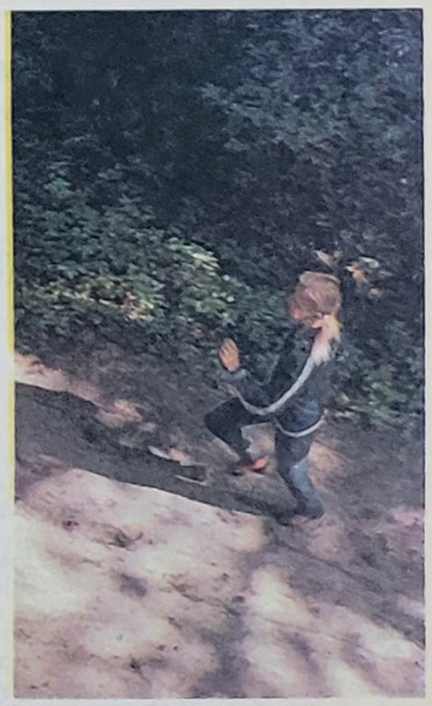

Fot. **Krzysztof Rago**

Aby osiągnąć sukces na 800-metrowej bieżni, trzeba przebiec dziesiątki i setki kilometrów treningowych tras

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

NA ZGRUPOWANIU OPERACJI „SŁUPIA-78"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Co 6 dni przybywają tu drużyny harcerskie z różnych chorągwi obozujące w tym województwie. Przez 5 dni pracują one przy urządzaniu terenów rekreacyjnych nad Słupią, budując pola biwakowe, alejki, wiaty przeciwdeszczowe, tory saneczkowe i leśne parkingi. Między drużynami rozwija się współzawodnictwo pracy. Zwycięska w nim drużyna otrzyma na zakończenie niebieskie chusty Operacji „Słupia – 78" i zostanie zaproszona do przyjazdu w roku przyszłym.

Gospodarzem zgrupowania jest drużyna sztabowa ze **Szczepu HSPS w Technikum Leśnym w Warcinie**. Harcerze-leśnicy, jako fachowcy, służą uczestniczącym w pracach operacji kolegom instruktażem i pomocą. Są też organizatorami i przewodnikami w czasie zajęć rozrywkowych – zwiedzania miasta w formie gry terenowej „Poznajemy zabytki Słupska", wycieczki na plażę do Ustki, imprez związanych z Festiwalem „Hawana 78".

Do końca lata w Operacji „Słupia – 78" weźmie udział ponad 1500 harcerzy z całego kraju, a także młodzieży z Czechosłowacji, NRD i Jugosławii. **(jm)**

Dziś rozpoczyna się w Kielcach

V HARCERSKI FESTIWAL KULTURY MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Z ważniejszych imprez V Festiwalu warto wspomnieć o koncercie pn. „JESTEŚMY POTRZEBNI TEJ ZIEMI", który odbędzie się w amfiteatrze na Kadzielni 30 lipca z okazji 30 rocznicy powstania Związku Młodzieży Polskiej; o Koncercie Przyjaźni pn. „NIE ZNA GRANIC NI KORDONÓW PIEŚNI ZEW" – z udziałem zespołów zagranicznych, 6 sierpnia; o Koncercie Finałowym pn. „KRAJ PIĘKNIEJE, W KTÓRĄ SPOJRZYSZ STRONĘ", w dniu 12 sierpnia zamknie on tegoroczny Festiwal.

Między dniem dzisiejszym a 12 sierpnia odbędzie się korowód ulicami Kielc, kiermasz artystyczny, Dzień Teatru, parada orkiestr dętych, Dzień „Świata Młodych" i „Na przełaj". Uczestniczące w Festiwalu zespoły będą występować w zakładach pracy samych Kielc i Kielecczyzny. Przede wszystkim zaś będą uczestniczyć w pracy tzw. warsztatów artystycznych, prowadzonych w poszczególnych kategoriach zespołów przez wybitnych specjalistów – muzyków, dyrygentów, reżyserów, choreografów, aktorów. Są one okazją do podszlifowania formy, do podniesienia poziomu, do nauczenia się wielu rzeczy przydatnych w dalszej działalności artystycznej. **(ek)**

W KRĘGU PRZYJAŹNI

Radiowe Studio „PLUS" ogłosiło w piątek kolejne wakacyjne zadanie pod hasłem – „W kręgu przyjaźni". Nie będziemy ich streszczać ponieważ są takie same, jak drukowane na str. 3 tego numeru „Świata Młodych". Szef Kolorowych Podwórek ogłosił jednak jeszcze jedno zadanie dodatkowe polegające na odszukaniu uczestników poprzednich dziesięciu Światowych Festiwali Młodzieży i Studentów. Może to będzie nawet ktoś z Waszych Rodziców?! Zaproście ich na swoje festiwalowe ognisko, poproście, żeby opowiedzieli Wam swoje wspomnienia. Pilnie słuchajcie i notujcie. **Szef Kolorowych Podwórek czeka na meldunki** o przebiegu takiego spotkania, które należy wysyłać **na adres: Polskie Radio, „Kolorowe Podwórka", 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46.**

Kolejne zadanie Studio „PLUS" ogłosi w piątek, 28 lipca, o godz. 15.30 w programie II Polskiego Radia. (ek)

IYC | 1979

„ONZ OGŁOSIŁA ROK 1979 MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM DZIECKA. TEN, KTÓRY WALCZYŁ CAŁE ŻYCIE O PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU JEST JEDNĄ Z NAJSZLACHETNIEJSZYCH POSTACI TYCH OBCHODÓW."

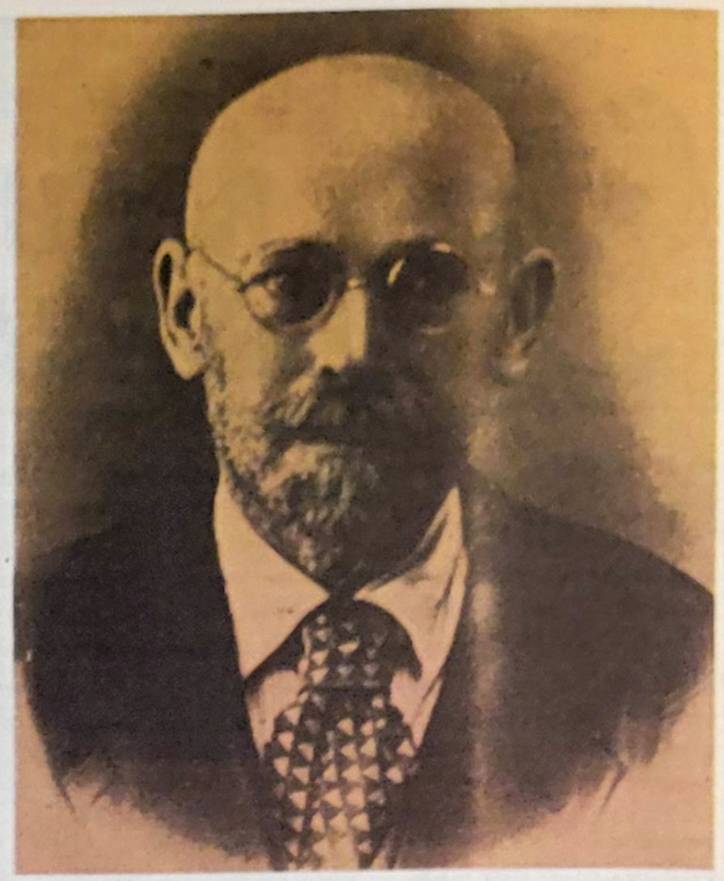

Mija właśnie sto lat od urodzin Janusza Korczaka (Henryka Goldszmita) i teraz u progu tej rocznicy, którą na sesji UNESCO w 1977 roku na wniosek delegacji polskiej wpisano do kalendarza wielkich rocznic światowych, wszędzie wiele się mówi i pisze o tym niezwykłym człowieku, lekarzu, pisarzu i wychowawcy, który całe życie poświęcił dla dobra dziecka. Najlepsza pamięć o Nim, to pamięć o Jego dziele, a to dzieło Korczaka to nie tylko książki, to także ludzie, których wychował, którzy dojrzewali w promieniowaniu Jego niezwykłej osobowości, w systemie działania Jego idei i praw. Niewielu z tych ludzi ocaliła wojna, ogromnej więc wagi nabierają wspomnienia tych, którzy Doktora znali, słuchali Jego cichego głosu, ulegali czarowi Jego sposobu bycia, delikatności i życzliwości w stosunku do każdego i wielkiej miłości do najmłodszych. Jednym z tych, który znał Korczaka osobiście, jest Kazimierz Dębnicki, dziennikarz, literat, autor wielu książek, a także cyklu wojennych opowieści dla młodzieży pt. „Uwaga, Piegowaty". Miał szczęście uczestniczyć we wczesnej młodości w wielkiej przygodzie redagowania pisma, założonego przez Janusza Korczaka dla dzieci i redagowanego przez same dzieci. „Mały Przegląd" zaczął wychodzić na jesieni 1926 roku jako dodatek tygodniowy do „Naszego Przeglądu", organu żydowskiego mieszczaństwa.

„Pismo będzie rozważało wszystkie sprawy uczniów i szkół – zapowiadał redaktor Korczak na wstępie – a redagowane będzie tak, żeby bronić dzieci. Pismo pilnować będzie, żeby się wszystko działo sprawiedliwie". Z czasem ten ogólny program walki o sprawiedliwość sprawił, że duża część dziecięcych redaktorów stała się lewicową radykalną młodzieżą.

W latach 1926–1932 prowadził „Mały Przegląd" sam Janusz Korczak, a potem przekazał pismo swojemu sekretarzowi i przyjacielowi – Igorowi Newerlemu. W 1933 roku pojawił się w redakcji tego pisma kilkunastoletni chłopiec, dziś autor wspomnień, których druk rozpoczynamy.

ARCHIPELAG LUDZI ZAGUBIONYCH (1)

Świadomie zapożyczam od Igora Newerlego część tytułu jego znanej książki: „Archipelag ludzi odzyskanych". Świadomie, bo właśnie Igor Newerly będzie jednym, i to ważnym, bohaterem tej serii wspomnień. Świadomie, bo będę pisał o ludziach zagubionych na krętych drogach wojny i okupacji. Jak zapadające się w głąb oceanów wyspy ginęli wówczas dla świata i wielcy, i mali. Wielcy jak Doktor Janusz Korczak, mali, jak jego wychowankowie, a wśród nich ci, którzy przed wielu laty podjęli stałą współpracę z „Małym Przeglądem", pismem „dzieci i młodzieży", które Doktor stworzył, a potem Igor Newerly przez całe lata prowadził. Będzie to opowieść o ludziach, którzy już nigdy nie wrócą, bo zabił ich wojenny potop, a także o tych, których fala tego potopu poniosła daleko od Polski i wreszcie o tych, bardzo nielicznych, którzy tu, na tej ziemi, żyją i pracują.

Giną ludzie, pozostają ich myśli. I dzieła. Dlatego możemy obchodzić rocznicę urodzin Janusza Korczaka, setną rocznicę, w przekonaniu, że to, co stworzył, ma ciągle ogromną wartość. Myślę więc, że i „Mały Przegląd" – pomysł Starego Doktora godny jest wspomnienia.

Odkrywamy „czarny ląd"

Cóż to za słowo „szabes-goje"? Prawda, że brzmi ono dziwnie i obco? Dziś nikt go nie używa, niewielu pamięta jego sens. Ale wtedy, gdy ja i grupka moich przyjaciół szkolnych zaczynaliśmy współpracę z korczakowskim „Małym Przeglądem" a więc w latach trzydziestych, słowo to miało znaczenie. „Szabes-goj" to był taki Polak-katolik, który nie miał rasowych przesądów, który bronił Żydów przed prześladowaniami grupek faszystowskich, który sprzeciwiał się antysemityzmowi. A przyczyny kłopotów politycznych, społecznych i ekonomicznych upatrywał w niesprawiedliwościach ustroju, samej istocie systemu kapitalistycznego, a nie w tym, że akurat żydowski kapitał jest gorszy od polskiego

NASZ PRZEGLĄD ILUSTROWANY

DZIESIĘCIOLECIE „MAŁEGO PRZEGLĄDU"

Pismo dzieci i młodzieży.

Uważaliśmy, bardzo jeszcze wtenczas naiwnie i młodzieńczo, że źródłem wszelkiego zła jest kapitał i jego władza, niezależnie od tego, do kogo ten kapitał należy. Natomiast wszyscy, którzy padają tego kapitału ofiarą, Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, są braćmi. Dlatego przeciwstawialiśmy się bojkotowi żydowskich sklepów, protestowaliśmy przeciwko dyskryminacjom wobec młodzieży żydowskiej, podobnie jak oburzaliśmy się na każdą dyskryminację narodową czy rasową.

Więc kiedy w pierwszej połowie lat trzydziestych w Polsce narastała fala faszyzmu, przed którą ostrzegała pisarka, Maria Dąbrowska, w artykule „Wielki cham", łącząc się w tym apelu z siłami postępu, z socjalistami, komunistami, ludowcami, demokratami, z całą robotniczą ulicą Polski – my młodzi także, na swój sposób i w miarę swoich możliwości, decydowaliśmy się na czynną walkę z faszystowskim rasizmem i antysemityzmem. Różni w różny sposób. Kilku uczniów państwowego gimnazjum im. Stanisława Staszica w Warszawie, skrótowo nazywanego „Siódemką" od numeru na szkolnej tarczy, postanowiło demonstrować współpracę z pismem dzieci i młodzieży żydowskiej, „Małym Przeglądem", założonym przez Janusza Korczaka, o czym już wiedzieliśmy, a prowadzonym wówczas przez podobnego nam „szabes-goja" Igora Newerlego, o czym mieliśmy się dopiero dowiedzieć. Tych kilku uczniów od Staszica to Kazimierz Koźniewski, Jerzy Korkozowicz i autor tych wspomnień. Przyłączyła się do nas moja koleżanka z poprzedniej, koedukacyjnej szkoły w Milanówku, Majka Cabańska, dzisiaj Szulecka. Los chce, że trójka z nas została pisarzami, a jeden, Korkozowicz – pedagogiem. W ten sposób każdy z wymienionych poszedł jakoś w ślady i Korczaka, i Newerlego, tych zatem, którzy nam patronowali i wywarli na nas niewątpliwie ogromny wpływ.

Ściśle biorąc, zaczęło się to odrobinę wcześniej, wiosną 1933 roku. Na wyższych uczelniach raz po raz wydarzały się antysemickie wybryki i nastroje takie przenikały do szkół średnich. Paniczykowie w korporanckich czapkach, z odznaką „Miecza Chrobrego" w klapach, i ich mieszczańscy koledzy napadali na studentów żydowskich. Uzbrojeni w laski, pałki, kastety i żyletki, stanowili, chociaż nie byli nazbyt liczni, hałaśliwą i groźną grupę, mającą swoje wpływy w szkołach gimnazjalnych. Ci sami próbowali też napaści na robotnicze pochody, na demonstracje pierwszomajowe, a im mocniejsza stawała się współpraca potężnej wówczas partii socjalistycznej PPS i klasowych związków zawodowych z nielegalnie działającą Komunistyczną Partią Polski, im bardziej utrwalał się jednolity front akademickiej lewicy: ZNMS, OMS „Życie", „Wiciowców", i ZPMD, a także żydowskiej socjalistycznej organizacji młodzieżowej, związanej z socjalistyczną partią „Bund" – tym agresywniejsi stawali się młodzi faszyści.

W tym to czasie w szkole, do której wówczas uczęszczałem, mianowicie w gimnazjum Górskiego, nauczyciel przyrody i biologii, doktor J., mój chrzestny ojciec – żeby było śmieszniej i położnik, który mnie w ogóle na ten świat przyjmował, zwrócił się do ucznia w klasie, na lekcji, mówiąc: „Nie siedź jak Żyd, nie podpieraj się jak żydłak", czy coś w tym właśnie rodzaju. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego Żyd ma siedzieć inaczej i podpierać się w inny sposób, a także dlaczego, jeśli ktoś siedzi niewłaściwie, to jest to pozycja typowo żydowska. Uznałem więc słowa profesora za przejaw antysemityzmu. Postanowiłem dać jakiś wyraz mojemu sprzeciwowi. I napisałem artykuł pt. „Nauczyciel nienawiści". Ale zamieścić taki artykuł w prasie nie było łatwo. Uczniów obowiązywał zakaz publikowania artykułów poza szkolnymi gazetkami, na taką zaś u „Górskiego" liczyć w ogóle nie mogłem, z inną młodzieżową prasą postępową kontaktu wówczas nie miałem. Natomiast o Korczaku wiele już słyszałem, słuchałem jego radiowych pogadanek, czytałem jego książki. Dowiedziałem się też, że założył pismo „Mały Przegląd", w którym dzieci i młodzież mogą się swobodnie wypowiadać, ba, sami to swoje pismo redagują.

Pełen niepokoju udałem się więc na ulicę Nowolipki, gdzie mieściła się redakcja, ściskając w dłoni swój artykuł. Niepokój miał niejeden powód i niejedno źródło. Przede wszystkim działał oczywiście lęk autora przed tym, jak jego „dzieło" zostanie przyjęte i ocenione. Ale także bałem się zagłębiania się w mało mi znaną dzielnicę żydowską Warszawy, w ulice zatłoczone ludźmi ubranymi w chałaty, mycki i mówiącymi mało zrozumiałym językiem, w labirynt ówczesnych Nalewek, Smoczej, Gęsiej, Nowolipia i Nowolipek, w gęstwę maleńkich sklepików, budzących zdumienie, że można w nich handlować i z tego handlu żyć, w podwórza wielkich, hurtowych składów, w zaduch często nieskanalizowanych zaułków. To wszystko było niepokojącą egzotyką. Czułem się niemal jak jakiś Livingston, zapuszczający się w tajemniczą, nieznaną dżunglę.

Dżungla okazała się nie taka znowu straszna i obca, a naczelny redaktor „Małego Przeglądu", Igor Newerly, wysoki, postawny, wówczas – może dla dodania powagi swojej młodości – zdobny w gęstą brodę, przyjął mnie serdecznie, artykuł zaakceptował, wymyślił (przy moim udziale) pseudonim, którym miałem się przez parę ładnych lat posługiwać i przedstawił mnie stałym współpracownikom tego tygodniowego pisma. Ci zaś, pochodzący z różnych sfer i klas społecznych, zarówno dzieci z asymilowanych rodzin żydowskich jak i chasydzkich, mówiący po polsku pięknie jedni, zabawnie, z typowym akcentem „jiddisz" drudzy, wyznający różne poglądy ideowe (acz w większości lewicowe), powitali mnie z serdecznością, ale i zdumieniem. Oto bowiem z dalekiej, tzw. „dobrej" dzielnicy Warszawy przywędrował osobliwy typ, pragnący dać wyraz swojemu protestowi przeciw rasizmowi, faszyzmowi, antysemityzmowi. Przekroczył symboliczną granicę, dzielącą dwa światy, dwie Warszawy, dwa kontynenty: katolicki ląd i ten „ląd czarny", żydowski. Zamiast bym ja dziwował się egzotyce nieznanego lądu – to jego mieszkańcy patrzyli na mnie z sympatią wprawdzie, ale z zaciekawieniem graniczącym z wrażeniem, jakie sprawia obłaskawiony słoń. Oczywiście, po krótkim czasie ta wzajemna fascynacja zanikła i przerodziła się w codzienne niemal kontakty, wspólne sprawy, często w przyjaźń. I kiedy niedługo potem do „Małego Przeglądu" wkroczyli moi koledzy, „czarny ląd" nie był już sensacją. Zarówno Kazik Koźniewski, jak Majka Szulecka czy Jurek Korkozowicz z miejsca wrośli w społeczność „małoprzeglądową".

Jacy jednak byliśmy, my „szabes-goje", do których po krótkim czasie przylgnęło jeszcze jedno, ulubione określenie polskich faszystów: żydo-komuna?

Byliśmy na pewno postępowcami. Co nie znaczy, że nasze poglądy miały już całkowicie sprecyzowane i określone kształty. Kazik był typowym liberałem, działaczem harcerskiej lewicy ZHP, Majka po prostu nie znosiła antysemitów, Korkozowicz i ja szybko zbliżyliśmy się ku socjalizmowi, ku socjalistycznym organizacjom młodzieżowym.

Wywodziliśmy się wszyscy z typowych inteligenckich rodzin polskich, w których pozostało sporo jeszcze szlacheckich tradycji, czasem bliższych szlacheckiej bigoterii katolickiej, czasem zaś dumnych z postępowych cech części polskiej szlachty. My akurat chcieliśmy być wierni tym cechom postępowym, hasłom „naszej i waszej wolności", Polsce – Ojczyźnie dla wszystkich sprawiedliwej.

I wszyscy chcieliśmy pisać, tworzyć, unieśmiertelnić się już, od razu, na samym początku świadomego życia. „Mały Przegląd" wydawał się nam takie szanse stwarzać. Okazało się, że stał się trudną, ciężką szkołą. Pisania i życia...

KAZIMIERZ DĘBNICKI

Fot. **Stanisław Gładki**

Dalszy ciąg wspomnień w następnym numerze

Specjalnie dla „Świata Młodych" pisze z Japonii: Janina Rubach-Kuczewska

RANDKA PO JAPOŃSKU „OMI - AI"

Brzmi to zaskakująco, lecz japońska młodzież nie ma zbyt wielu okazji do kontaktów z rówieśnikami odmiennej płci. Po lekcjach czy po pracy bywa tu bowiem jak w figurowym starym tańcu: dziewczęta w lewo, chłopcy w prawo. Do kina, na wycieczkę, do cukierni, na niedzielny spacer panny w swoim i młodzieńcy w swoim gronie. Nawet w dyskotekach, jak w zamierzchłych czasach na naszych wiejskich wieczorynkach, zaraz po tańcu pary rozchodzą się do innych stolików. Co prawda panuje tu swoboda obyczajów, ale jednocześnie życie towarzyskie płynie odrębnym torem.

W Tokio, Osace czy innych wielkich miastach obyczaje już się oczywiście nieco zmieniły. Zwłaszcza stołeczny park w młodzieżowej dzielnicy Shinjuku jest ulubionym miejscem koedukacyjnych spotkań i wspólnych zabaw. Tu też widzi się zakochanych, którzy czule do siebie szepcą, usadowiwszy się na zielonej murawie. Wiosną wpadając w zachwyt nad kwitnącymi drzewami wiśni, adorowanymi przez wszystkich Japończyków, a jesienią podziwiając złote listowie klonów. Jest to bowiem społeczeństwo niezwykle romantyczne, sentymentalne i niesłychanie wrażliwe na piękno przyrody.

Gdy nadchodzą parne dni lata, całe rodziny usadawiają się w mikroskopijnych ogródkach przed miniaturowymi drewnianymi domkami, by słuchać śpiewu cykad, które nic sobie nie robiąc z wielkomiejskiego hałasu koncertują na każdym krzewie i drzewie. Urządza się zbiorowe wyprawy za miasto, by oglądać „tańce" świętojańskich robaczków, a niektórzy obrotni restauratorzy, dysponujący jakimś kawałkiem zielonej przestrzeni, zapraszają gości na „kolacje ze świetlikami" przywożonymi w koszach z dalekich stron.

Wczesną jesienią, kiedy to księżyc nad Japonią jest ponoć najpiękniejszy, noc w pełni, kto żyw, zasiada na jakimś balkoniku czy po prostu na dachu parterowego drewniaczka i wzdycha do miesiąca, często układając wtedy klasyczne 17-sylabowe poematy, zwane „haiku". Mają one tylko 3 linijki zawierające 5, 7 i 5 sylab. Wielcy poeci w tej tak lakonicznej formie umieli pięknie wyrazić głębię myśli i uczuć, stworzyć sugestywny obraz opisywanego zjawiska: deszczu, wschodu słońca nad morzem czy właśnie blasku księżyca wędrującego wśród obłoków. Co prawda nowoczesna młodzież często przedkłada nad te twórcze dumania oglądanie programów TV, ale większość zachowuje wierność tradycjom, uważając, że mają one swój urok i głęboki sens.

Trudno może w to uwierzyć, ale ze wszystkich ankiet wynika – i potwierdza się to w praktyce – iż młodzi Japończycy nadal cenią sobie np. zawieranie małżeństw za pośrednictwem swatów, czyli „nakodo". Mimo że coraz częściej pobierają się z miłości, ostateczną decyzję podejmują na aranżowanych przez swatów randkach, zwanych „omi-ai". Dla większości dziewcząt i chłopców są to zresztą po dziś dzień prawdziwe „wieczorki zapoznawcze" – widzą się bowiem wtedy po raz pierwszy.

Tradycyjny swat to przeważnie jakiś przyjaciel, krewny, lub profesor, nauczyciel. Podsuwa rodzicom sugestie, wysłuchuje ich opinii. Naradzają się wspólnie, jaki kandydat czy kandydatka byłaby dla ich dziecka najodpowiedniejsza. Chodzi nie tylko o dobór pod kątem wykształcenia, majątku, pozycji, ale też cech charakteru, zainteresowań. Nim dojdzie do pierwszego spotkania młodych „nakodo" sprawdza stan finansowy i moralny kandydatów, zapoznaje się z ich rodzinnymi rejestrami, co nie jest prawem dozwolone, ale szeroko stosowane, bo czego nie da się zrobić, gdy komuś na tym bardzo zależy...

Trzeba się upewnić m. in. czy amator do żeniaczki nie ma przypadkiem innej żony (bo nie wszyscy w Japonii zawierają małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego) czy nie wywodzi się, nie daj Boże, z pogardzanej kasty „buraku min", która ma wiele podobieństw z indyjskimi „nietykalnymi" – pariasami. Jeśli wszystko jest w porządku, kawaler zjawia się albo w domu panny na „herbatce", albo przybywa do cukierni, gdzie czeka już całe grono rodzinne. Młodzi nie bez napięcia przyglądają się sobie, obserwują nawzajem swe gesty i reakcje. Przymusu nie ma. Szacuje się, że przeciętnie dopiero trzecia „przymiarka" kończy się ślubnym kobiercem, ale zdarza się też, że decyzja bywa natychmiastowa.

„Odrzucani" chłopcy są w znacznie lepszej sytuacji, bo niewiele sobie z tego robią, gdy dowiedzą się, że dziewczynie nie przypadli do gustu. Natomiast dla „niechcianej" panienki jest to sprawa nad wyraz przykra. Na ogół więc mężczyzna, który nie ma ochoty żenić się właśnie z tą kandydatką, ucieka się do podstępu. Niby wyraża zgodę, ale przy następnych spotkaniach tak się nieprzyjemnie wobec niej zachowuje lub robi z siebie takiego obrzydliwca, że przyszła narzeczona zmienia zdanie i pierwsza mówi: „nie".

Jeśli jednak młodzi akceptują się nawzajem i nie wyłonią się żadne przeszkody, rychło następują zaręczyny, wymiana prezentów, a za trzy miesiące wesele z poprawką na parę dni, bo trzeba uwzględnić jeszcze to, co mówią gwiazdy, wybrać datę, gdy będą związkowi „przychylne".

I tu znów zaskoczenie. W kraju tak wysoko rozwiniętej techniki, automatyzacji, robotów, komputerów astrologowie i wróżbici są bardzo cenieni. Zresztą i oni idą z duchem postępu. Niektórzy wróże zaprzęgli nawet w swą służbę mini-komputery, które „odczytują" linie papilarne utrwalone przez specjalną kamerę i „wypluwają" odpowiednio zakodowaną taśmę. Zakłada się ją na elektryczną maszynę do pisania przetwarzającą to w znaki jednego z japońskich alfabetów „kana", no i już wiadomo, jaki cię czeka los.

Narzeczeni korzystają jednak raczej z usług tradycyjnych przepowiadaczy. Wieczorami, zwłaszcza jesienią, gdy wybucha sezon ślubów, panie i panowie siedzący wzdłuż chodników przy maleńkich stoliczkach oświetlonych ogarkiem świecy nie mogą narzekać na brak klienteli. Zwłaszcza ci, którzy mają swe stoiska na ulicach piekielnie ruchliwej i zatłoczonej samochodami śródmiejskiej Ginzy, koło wielkich dworców miejskich stołecznej kolei, czy w supernowoczesnej dzielnicy rozrywkowej Shinjuku są oblężeni. Po porady te spieszą głównie dziewczęta, do bardziej słynnych astrologów ustawiając się w długich kolejkach. Można je porównać tylko z tymi, które wiją się przy teatrze Takarazuka, słynnym z tego, że w przeciwieństwie do klasycznego teatru Kabuki, gdzie występują wyłącznie mężczyźni – tu wszystkie role, od Napoleona do groźnych gangsterów, grają, śpiewają i tańczą śliczne i utalentowane aktorki. Są one adorowane przez wszystkie japońskie podlotki.

Dawniej swat, ów przyjaciel rodziny, do końca życia czuwał nad szczęściem skojarzonych przez siebie par, będąc dla nich czymś w rodzaju ojca chrzestnego. Wielu uważało to nawet za rodzaj społecznej misji. Znany był z entuzjazmu i zapału jaki wkładał w swoje – jak mówił – posłannictwo, profesor tokijskiego uniwersytetu Kojiro Hidaka, który wraz z żoną przez przeszło 20 lat zajmował się swataniem młodych ludzi. Przez „omi-ai" organizowane w jego domu przewinęło się prawie 50 tys. chłopców i dziewcząt, co zostało uwieńczone 5 tys. małżeństw. Niestety, oboje starsi państwo oświadczyli ostatnio, że rezygnują z tej bezinteresownej i niełatwej pracy, gdyż młodzież współczesna zbyt często wykorzystuje dobre intencje profesora dla nawiązywania przelotnych flirtów i romansów.

Biorą więc coraz częściej te sprawy w swe ręce biura matrymonialne, których jest w Japonii ponad 5 tys., a w samym tylko Tokio dysponują 261 numerami telefonicznymi. Posługują się najnowocześniejszą techniką: nakręca się barwny dźwiękowy film prezentujący kandydata, kandydatkę, prezentuje go zainteresowanym na wideomagnetofonie; detektywi dostarczają danych, które są powierzane pamięci komputera. Wstępny zapis wynosi odpowiednik 100–130 dolarów. Jeśli dochodzi do zaręczyn, płaci się drugą ratę, jeszcze wyższą.

Gdy następuje ślubny finał, firma już się losem swych podopiecznych nie interesuje. Bardzo się nad tym w Japonii boleje uważając, że w jakimś sensie zubaża to życie małżeństwa, zostaje ono bowiem pozbawione oddanych sobie doradców i opiekunów, jakimi bywali „nakodo".

O tym, jak dobrym interesem jest kojarzenie małżeństw świadczy przykład „pionierskiej" działalności koncernu Mitsubishi, który wziął przed paru laty w swe ręce los młodzieży pracującej w jego 27 przedsiębiorstwach, angażując do tej pracy komputer. Nie jest to bynajmniej działalność altruistyczna. „Dobry ojciec", czyli firma, za kartę wstępu do „Diamentowego Klubu" (nazwa Mitsubishi znaczy „trzy diamenty") pobiera 10 tys. jenów, a za każdy sfinalizowany związek małżeński potrąca nowożeńcom z listy płac 100 tys. jenów.

To prawda, że otrzymują oni w posagu sprzęt Mitsubishi do gospodarstwa domowego, a nawet jeśli tego zapragną, samochód tej firmy, ale za to wiano muszą sami płacić, tyle tylko, że na raty. Na tym „komputerowym kobiercu" stanęło w krótkim czasie 100 par zaś lista czekających zawiera obecnie przeszło 5.500 nazwisk, bo koncern rychło przekształcił swą intratną działalność matrymonialną w szerokie „usługi dla ludności" pobierając od ludzi z zewnątrz znacznie większe stawki.

Rozeszła się fama, że „komputerowy swat" ma lekką i szczęśliwą rękę, ale już i przed nim wyłaniają się wielkie trudności. Rzecz w tym, że kandydatek do zawarcia małżeństwa jest zakodowanych w elektronowym mózgu trzy razy więcej niż osobników płci męskiej. Gdyby Japonia była krajem islamu, nie byłoby sprawy...

Fot. archiwum

Rajdowa Agencja Hi-Hi donosi:

PAPCIO CHMIEL SZEFEM BIURKA PRASOWEGO 4 RAJDU ROWEROWEGO XXX-LECIA „ŚWIATA MŁODYCH"

(Hi-Hi). Wyjechałem o świcie, czyli do dnia „małym fiatem" z Warszawy w Bieszczady. Przybyłem na piękną polanę leśną, zarośniętą soczystymi, pachnącymi trawami położoną 5 kilometrów na południe od Ustrzyk Dolnych.

Słońce wyszło zza chmur. Nareszcie będzie pogoda – zacząłem się cieszyć jak początkujący dziennikarz po wydrukowaniu mu w gazecie pierwszego pisadełka. Radość moja była krótka, po otwarciu bagażnika okazało się, że zamiast maszyny do pisania ukrywa się w nim skulony, spocony, półprzytomny Tytus.

– Uf, myślałem, że się uduszę, nigdy już nie schowam się do bagażnika „malucha" – odezwał się jakby nigdy nic.

– Tytus, co ja teraz z tobą zrobię? – zawołałem zrozpaczony. – Nie ma dla ciebie ani roweru, ani namiotu, ani śpiwora...

– Zobaczy Papcio, że się przydam, rajd bez Tytusa, to jak rower bez dzwonka; zresztą zaprosiłem jeszcze na rajd, w ramach wymiany bezdewizowej, stryjka z Trapezfiku.

Zemdlałem na pół sekundy z wrażenia, ocknął mnie ogłuszający hałas silnika samochodowego, na polanę wjeżdżał potężny „Star" wiozący ekwipunek dla uczestników rajdu.

Tytus rozbił wnet namiot, a potem i siebie o potężny korzeń i kulejąc zaprosił mnie do środka.

– Co to za siano? Namiot to nie stajenka, a ja nie bydlątko tylko poważny szef biurka prasowego. Nie będę spał na sianie, tylko na materacu pneumatycznym.

– Myślałem, że przez czas rajdu Papcio zechce się odzwyczaić od cywilizacji i zbliżyć dzięki temu sianu do natury.

Minęło ileś tam minut, ponownie zaglądam do namiotu. Napęczniały materac kusi swą miękkością do spania.

– Teraz wierzę, że mi się przydasz na rajdzie – pochwaliłem Tytusa. Położyłem się na materacu i podskoczyłem jak oparzony. Materac był gorący jak kaloryfer.

– Co to znaczy?

– Zamiast powietrza wlałem do materaca gorącej wody. Powstało w ten sposób tak zwane w sferach ekskluzywno-rajdowych „waterbed". Wewnątrz jest umieszczona elektryczna grzałka podłączona do akumulatora samochodowego: nie zmarznie Papcio do rana. Jak cywilizacja, to cywilizacja! Tym bardziej, że będzie wkrótce padać, bo mnie ustrzyka w kolanie na zmianę pogody.

– Mówi się strzyka, a nie ustrzyka – poprawiłem.

– Ale nie tu, w Ustrzykach Dolnych.

Wkrótce rzeczywiście zaczęło padać. To była pompa. Leśne stróżki zamieniły się w rwące strumienie, strumienie w potoki, itd. Pod nieokopane namioty podeszły jeziora wody. Komuś w namiocie przez dziurkę w podłodze, trysnęła fontanna. Dobrze, że miał miskę, to ją umieścił do góry dnem i łapiąc wodę uratował się przed zatopieniem. Droga dojazdowa do obozu zamieniła się w ślizgawkę. Ciężarowy kręci kołami w miejscu tańcząc na tłustej glinie „tłysta".

Tytus pociesza nas wszystkich: dobrze, że leje. Rajdowcy bardziej się zahartują, nauczą się walczyć z wodą, która w wannie u mamusi sprawia tyle radości, a na obozie kłopotu i nieprzyjemności. Doświadczą na własnej przemoczonej skórze, że na rajd bierze się buty gumowe na szelkach, zapasową dętkę rowerową napełnioną ciepłym powietrzem, którą można sobie w razie chrypki owinąć gardło, przytrzymywacz do latających z zimna szczęk, bidon rowerowy napełniony koktailem malinowo-polopirynowym i kapelusz z rynną.

Może i słusznie.

PAPCIO CHMIEL
Fot. **K. Adamowski**

GWIAZDOZBIÓR

LOSY MAŁEJ GWIAZDKI STAREJ DATY

czyli

O SHIRLEY TEMPLE

„Nie będzie lalek, kolacji, Mikołaja z choinką, będzie jupiter, mikser, reżyser i scenariusz..."

Ta urocza dziewczynka z loczkami i dołeczkami w policzkach w latach trzydziestych była jedną z najbardziej kasowych gwiazd Hollywood. Kochały ją tłumy, a równocześnie widzowie z całego świata głęboko jej współczuli. Pracowała bowiem od czwartego roku życia. Zdumiewała swoim poczuciem rytmu, umiejętnością stepowania, naturalnością gry – niezwykłą u dziecka. Była po prostu niepowtarzalnym zjawiskiem. Równocześnie trudno było patrząc na nią nie zastanawiać się, jakim kosztem z dziecka uczyniono artystkę i nie myśleć z niepokojem o jej przyszłości. Stąd na łamach prasy całego świata prócz entuzjastycznych recenzji pojawiały się wierszyki współczujące małej niewolnicy „fabryki snów". Tymczasem Shirley była co prawda związana z wytwórnią 20-th Century Fox długoletnim kontraktem, ale z pewnością nie można jej było nazwać „niewolnicą".

Hollywood odkryło ją przypadkiem w 1932 r. W szkole baletowej, do której rodzice posyłali maleńką, ale wybitnie tanecznie uzdolnioną córkę poszukiwano dziewczynki do filmu, która miałaby nie więcej niż 90 cm wzrostu i umiałaby dobrze tańczyć. To była jej pierwsza, mała zresztą, rola i pierwsza symboliczna 10-dolarowa gaża. Okazało się, że dziewczynka, prócz wybitnej muzykalności i ślicznej buzi, ma świetną pamięć, wspaniałą intuicję aktorską i dyscyplinę. – „Ta mała zna wszystkie tricki..." – irytowali się żartobliwie jej dorośli partnerzy, których grę zaćmiewała swoim wdziękiem. Nie ona była dodatkiem dla nich, ale właśnie wszystko kręciło się wokół niej. Mówiono o niej: „one take Temple" (jednoujęciowa Temple), bo scen, w których grała nigdy nie trzeba było powtarzać, filmowano je bez dubli. Mała aktoreczka nie potrzebowała nawet brać udziału w męczących próbach. W drodze na plan filmowy matka tłumaczyła jej tylko, czego będzie od niej wymagał pan reżyser i Shirley była niezawodna. Pracę w filmie traktowała po prostu jako świetną zabawę. Właśnie dlatego jej rodzice wyrazili zgodę na podpisanie kontraktu z wytwórnią. Zastrzegli zresztą, że jeśli ta praca w jakimkolwiek stopniu zagrozi osobowości ich dziecka, będą mieli prawo zerwać umowę.

Shirley długo nie miała pojęcia o własnej sławie; nic nie wiedziała o modzie na „Szirlejkę", o tym, że matki kręcą swoim córeczkom włosy na papiloty, by je upodobnić do „ideału", że największe domy mody zasypują ją wspaniałymi sukienkami, marząc by robiła im reklamę nosząc którąś z nich (rodzice ubierali ją bardzo skromnie), że dzieci całego świata bawią się loczastymi lalkami à la Szirlejka, że jej wielbiciele zrzeszają się w kluby. To szaleństwo miało miejsce poza jej dziecięcym światem, w którym prócz filmu było miejsce na normalną zabawę lalkami, życie rodzinne i na naukę.

Była pierwszą z małych aktorek, która otrzymała najwyższe artystyczne wyróżnienie – Oscara – za to, że w ciężkich latach kryzysu ekonomicznego „milionom dzieci i dorosłych przynosiła więcej szczęścia i pogody niż jakiekolwiek dziecko w historii".

Shirley miała trzynaście lat, kiedy jej rodzice zdecydowali się zerwać stałą umowę z filmem. Później grywała jeszcze sporadycznie, ale przestawała już być uroczym dzieckiem. Wkraczała w mniej wdzięczny wiek podlotka.

Bilans filmowej kariery dziewczynki był imponujący: 24 filmy, ogromna gaża. Wytwórnia 20-th Century Fox zarobiła na niej 20 mln dolarów. Co jest jednak znacznie ważniejsze Shirley Temple – weszła na stałe do historii kina, stała się wręcz mitem lat trzydziestych.

* * *

Dziś nazywa się Shirley Black, ma dwie dorosłe córki i syna. Nadal jest „tytanem pracy". Zrobiła karierę, tyle że nie w filmie, a w polityce. Po raz pierwszy w 1967 r. jako działaczka partii republikańskiej kandydowała w wyborach do lokalnych władz. Swoją porażkę skwitowała zdaniem: „Nie jestem dobra w publicznych debatach. Nie pamiętam już jak należy się zachowywać wobec kamery i reflektorów". Następnie wzięła udział w kampanii prezydenckiej Nixona kwestując w całych Stanach. Po wygraniu przez niego wyborów, została przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w ONZ, w komisji do spraw socjalnych. Jej pracę i osiągnięcia ocenił również prezydent Ford mianując ją ambasadorem USA w Ghanie. Prócz tego pani ambasador działa w Stowarzyszeniu Zapobiegania Sklerozie i w komisji ONZ do spraw ochrony środowiska naturalnego. Jest kobietą wybitnie inteligentną i wszechstronnie wykształconą (biegle włada czterema językami). Jej dewiza życiowa brzmi: „W naszych czasach kobieta musi poświęcić się jakiejś sprawie."

opr. **Ewa Bielska**

DOM MODY światła młodych

SUKIENKA Z... BIELIŹNIARKI

Przyjrzyjcie się dokładnie zamieszczonym obok zdjęciom. Na pierwszy rzut oka człowiek ma wątpliwości, czy to są sukienki, czy.. haleczki. Ewentualnie do bardzo wytwornych nocnych koszul też można by te szatki porównać. Ale to są sukienki. Takie sukienki z... bieliźniarki.

Oczywiście, sprawa to gustu i nie wszystkim przyodzianie się w taką bieliźnianą rzecz będzie się podobało, ale innym z kolei – może się to wydać warte uwagi. Szczególnie jak ktoś lubi ciuchy o charakterze romantycznym, kocha wszelkie koronki i falbanki i dobrze mu jest w kolorze białym. Bo „sukienki z bieliźniarki" (choć na zdjęciu jedna jest niebieska, ale i najmniej stylowa) są z reguły białe. Najbardziej typowa to ta, której właścicielka trzyma w ręku zielony kapelusz – luźna koszulka na wąziutkich ramiączkach z koronki.

Akurat ta uszyta jest cała z tzw. haftu szwajcarskiego, co jest skądinąd śliczne, ale okrutnie trudne do zdobycia. Równie stylowo będzie wyglądała taka sukienka uszyta z białego batystu lub białej etaminy, a koronek na szczęście jest pod dostatkiem. Ten model ma jeszcze jedną zaletę – jest szalenie prosty (żadnych zaszewek, żadnych cięć) więc nadaje się do szybkiego uszycia.

„Haft szwajcarski" jako materiał sukienkowy z metra jest co prawda nieosiągalny, ale zdarzają się w pasmanteriach węższe jego kawałki, służące teoretycznie do wykańczania bielizny pościelowej. Praktycznie używane są one do wykańczania modnych „bieliźnianych" sukienek. Obszywa się nimi (marszcząc) okrągły dekolt, robi się z nich na dole falbanę. Oczywiście materiał sukienki musi być albo biały, albo (na zdjęciu to jest spódnica noszona z białą bluzką) jakiś delikatny wzór na białym tle.

Jeśli jednak „haft szwajcarski" i pod tą postacią byłby nie do osiągnięcia, pozostaje jeszcze jeden „bieliźniany" motyw, tzw. mereżka. Nie wiem, czy Wam to słowo coś mówi, ale zapytajcie się babci – ona je zna. I nie tylko zna słowo, ale najprawdopodobniej potrafi również mereżki wykonywać. Może uda się ją Wam na to namówić?!...

RIUSZKA

REDAKCYJNA POCZTA

Marek czeka na listy

Podczas wakacji jestem „skazany" na samotność. Mój najlepszy kolega wyjechał na całe trzy miesiące. Ja rzadko gdzieś wyjeżdżam, ponieważ mieszkam w małym domku z ogródkiem i w czasie wakacji mam dużo pracy. Proszę, wydrukujcie mój adres. Może ktoś napisze do mnie. Każdy list sprawi mi wiele radości i na pewno nie będę czuł się taki samotny. A może ta korespondencyjna przyjaźń będzie trwała dłużej niż wakacje?

Marek Kostilek
ul. Jedności 1
57-401 Nowa Ruda 3

„Smutno było żurawiowi..."

Kochani! Poradźcie, co mam robić? Rok temu zakochał się we mnie Krzysiek. Powiedział mi o swoim uczuciu. Wyśmiałam go wtedy i w ogóle zachowałam się okropnie. Kiedy Krzysiek przestał na mnie zwracać uwagę, wtedy ja doszłam do wniosku, że... jestem w nim zakochana. Ciągle myślałam o nim. Nie mogłam spać, przeszkadzało mi to w nauce. Krzysiek zaczął chodzić z Renatą. Przeżywałam to okropnie. Pod koniec kwietnia znów byłam szczęśliwa, bo zaczął ze mną rozmawiać. Musiałam jednak na kilka dni wyjechać i wtedy Krzysiek znów zaczął spotykać się z Renatą. Co ja mam zrobić? Wiem dobrze, że w moim wieku w ciągu roku można przeżyć pięć wielkich miłości. Ale co z tego. Ja naprawdę cierpię.

„Kama"

W tym największy jest ambaras...

Tylko Wy możecie mi pomóc! Na kolonii nad morzem poznałam Witka. Rozstając się wymieniliśmy adresy. Ale otrzymałam od niego tylko jedną kartkę. Ja wysłałam już kilka listów i nic. Witek jest Waszym stałym czytelnikiem. Posyłam Wam jego adres. Bardzo proszę, napiszcie do niego, że powinien ze mną nadal korespondować, bo to nieładnie nie odpisywać dziewczynie na listy. Ja go przecież nadal bardzo lubię!

„Beta"

OD REDAKCJI: Nie możemy, Beto, spełnić Twojej prośby. Nie mamy prawa zmuszać Witka do utrzymywania z Tobą korespondencji. Każdy może sam wybierać sobie przyjaciół i znajomych. (dś)

DZIEWCZYNA O BEZKONKU – RENCYJNYM UŚMIECHU

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Zwiększa więc wysiłek i systematyczność treningów. Trenuje 4–5 razy w tygodniu po kilka godzin, rano i wieczorem, w każdej wolnej chwili. Mozolna to praca, ale nie ma wyboru, jeśli chce osiągnąć wielki sukces. A Jola chciała, bardzo chciała! Wtedy bowiem zaczęła już marzyć o starcie na Mistrzostwach Europy w Rzymie. Na Memoriale Kusocińskiego uległa tylko Elżbiecie Katolikowej i biegaczce radzieckiej Njole Sabaite. Nie była jednak jeszcze pewna, że zostanie powołana do reprezentacji. Dopiero zdobycie mistrzowskiego tytułu na Międzynarodowych Mistrzostwach Polski upewniło ją, że droga do Wiecznego Miasta stoi przed nią otworem. Nie myślała o zdobyciu medalu, ale postanowiła dojść do finału. I ten pech! Na zgrupowaniu w Spale uległa zatruciu pokarmowemu. Startując w tym stanie i z niewyleczoną kontuzją kolana zajęła w eliminacjach szóste miejsce. Żegnaj finale!...

Trzeba być prawdziwym sportowcem, żeby będąc solidnie przygotowanym i psychicznie nastawionym na osiągnięcie sukcesu, nie ulec załamaniu. Ale takie chwile nie mijają bez śladu, skłaniają do refleksji. Jola nie załamała się, ale zrozumiała wówczas, że sportowiec powinien iść dwoma drogami – sportową i tą, która po zakończeniu startów decydować będzie o jego dalszym życiu i przydatności w społeczeństwie. Rok maturalny poświęciła więc przede wszystkim nauce. Ale nawet przy lżejszym i niesystematycznym treningu w tym czasie poprawiła rekord życiowy na swoim koronnym dystansie 800 m, a także na 400 m. Zdała maturę i rozpoczęła studia na poznańskiej AWF. To spowodowało też kolejną zmianę barw klubowych – przeszła do AZS, pod opiekę trenera Jerzego Panzera.

Nie ma chyba sportowca, który nie marzyłby o olimpijskim starcie. Nic więc dziwnego, że Jola w marzeniach widziała siebie w olimpijskim stroju. A taka właśnie okazja nadeszła. Ekipa biało-czerwonych rozpoczęła przygotowania do moskiewskiej olimpiady. Podwójna mistrzyni Polski w hali i na otwartym stadionie, wielokrotna reprezentantka barw kraju w spotkaniach międzypaństwowych oraz półfinalistka i finalistka Pucharu Europy, Jolanta Januchta, zakwalifikowała się do grupy olimpijskiej B.

Droga do olimpiady dopiero się rozpoczęła. Teraz przygotowuje się do rozgrywanych w sierpniu Mistrzostw Europy w Pradze. Jest to okazja do pokonania szczebla dzielącego ją od grupy olimpijskiej A. Ten szczebel jest wymierny – musi poprawić swój rekord życiowy z 2:00.6 na 1:59.0, bo takie jest minimum kwalifikacyjne. Ale Jolanta Januchta chce osiągnąć coś konkretnego, wielki sukces. Czy jej się to uda? Będziemy za nią trzymać kciuki!

RYSZARD RATAJCZYK

Już po raz drugi w tym roku przeprowadzono w Związku Radzieckim eksperyment z wysyłką automatycznego statku towarowego na orbitę okołoziemską. „Progress-2", nazwany kosmiczną ciężarówką, dowiózł zaopatrzenie dla stacji „Salut-6". O szczegółach tej operacji piszemy obok.

Należy z tego wnioskować, że ekipa zespołu orbitalnego „Sojuz-29" – „Salut-6": Kowolonok-Iwanczenkow pracować będą w kosmosie przez dłuższy czas. Już w tej chwili przebywają oni na orbicie ponad 5 tygodni. W połowie lipca wystrzelono również w ZSRR satelitę łącznościowego „Mołnia-1", który umożliwi przesyłanie obrazów telewizyjnych na obszar całej Syberii i Azji Środkowej. „Mołnia-1" zapewni także łączność radiową i telegraficzną ze wszystkimi punktami sieci „Orbita".

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

„PROGRESS-2" KOSMICZNĄ CIĘŻARÓWKĄ

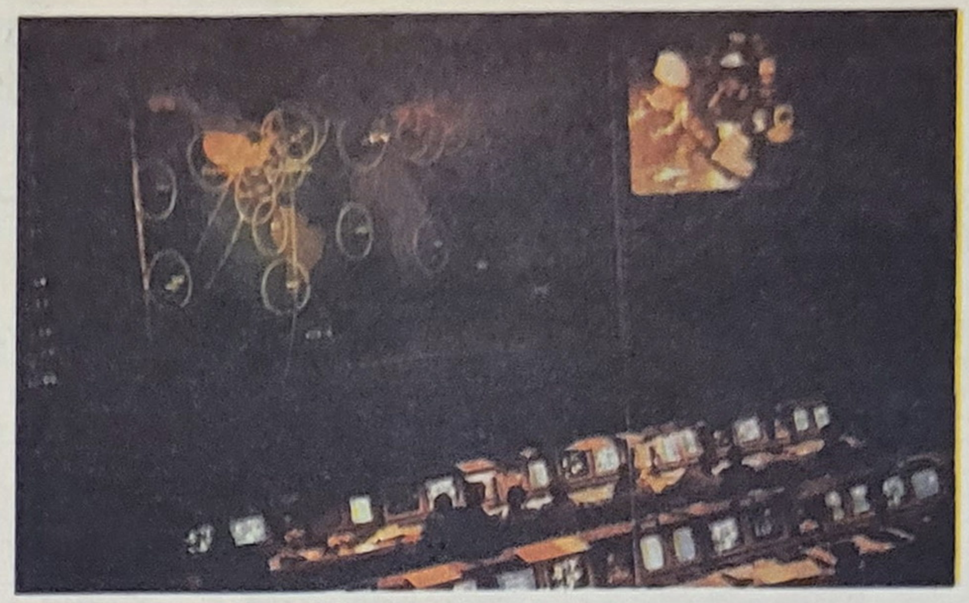

Tak wygląda Centrum Kierowania Lotami pod Moskwą. Stąd dowodzi się wszystkimi operacjami związanymi z lotami załogowymi w kosmos, a także statkami-automatami, jak w przypadku „Progressa-2". Szczególnie ścisłą kontrolą CKL objęta jest operacja połączenia obiektów na orbicie oraz tankowanie paliwa dla zespołu „Salut-6" – „Sojuz-29".

9 lipca br. statek transportowy „Progress-2" połączył się z zespołem orbitalnym „Salut-6" – „Sojuz-29", na którym pracują od połowy czerwca kosmonauci: Włodimir Kowalonok i Aleksander Iwanczenkow. Gośćmi tego zespołu, jak wiadomo – byli Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski. „Progress-2" przywiózł z Ziemi zaopatrzenie dla dalszej pracy załogi – paliwo, gaz, wodę, żywność i aparaturę naukową.

Kosmiczna ciężarówka, jakkolwiek skonstruowana została na bazie statku załogowego „Sojuz", jest zupełnie nową jednostką kosmiczną. Jej budowę rozpoczęto z chwilą wprowadzenia do eksploatacji stacji orbitalnych typu „Salut".

Po co potrzebny jest taki statek? Na pokładzie stacji orbitalnej występują dość znaczne „ubytki" związane z przeprowadzanymi badaniami naukowymi. Tak np. trzeba uzupełniać materiały do badań biologicznych. Zmniejszają się zapasy taśm filmowych i fotograficznych. Co więcej, w trakcie lotu rodzą się idee nowych eksperymentów, do przeprowadzenia których brak niestety przyrządów na pokładzie zespołu orbitalnego. Po drugie, trzeba zapewnić normalne funkcjonowanie stacji. Znajdują się w niej setki agregatów i przyrządów. Niektóre zużywają się. Z góry zakłada się, że trzeba je wymienić, gdyż okres ich eksploatacji jest krótszy niż czas pracy stacji. Oczywiście, mogą też nastąpić nieprzewidziane defekty urządzeń i wówczas konieczna jest ich naprawa. Występuje też potrzeba uzupełnienia atmosfery „Saluta-6".

Kolejną pozycją „ubytków" jest paliwo, które jest niezbędne dla korekcji orbity i przeprowadzania różnych operacji w trakcie badań naukowych. Trzeba tu również wspomnieć o systemach zapewniających normalne warunki życiowe kosmonautów. Regeneratory zawierają różne substancje, które wydzielają tlen. Nie mogą one pracować w nieskończoność. Trzeba wymienić filtry, pochłaniacze itp.

Wreszcie zapasy żywności. W ciągu ponad trzech tygodni lotu „Fotonow" – tak brzmi kryptonim obecnej załogi „Saluta-6" – zapasy te nieco zmniejszyły się. „Progress-2" dostarczył również wodę do łazienki, ręczniki, serwetki, pościel. Reasumując, na jego pokładzie znajdował się cały magazyn.

Jak podkreślił przewodniczący rady „Interkosmos" Akademii Nauk ZSRR, Borys Pietrow, zastosowanie automatycznego statku towarowego dla obsługi załogowej stacji naukowej stanowi nowy praktyczny krok w kosmonautyce. Dzięki temu znacznie zwiększają się możliwości pracy zespołu orbitalnego. Regularne uzupełnianie w niezbędne aparaty, przyrządy i materiały naukowe umożliwia uczynienie ze stacji typu „Salut" laboratoriów naukowych ze zmieniającymi się załogami specjalistów. Automatyczne statki towarowe pomogą w przekształceniu stacji orbitalnych w zakłady przemysłowe dla uzyskiwania m.in. superczystych materiałów czy jednorodnych stopów, a także unikalnych półprzewodników i kryształów. Obecnie – podkreślił Borys Pietrow – automatyczny statek transportowy nazwać można kosmiczną „ciężarówką". Występuje on również w roli holownika. Dzięki jegl silnikom można przesunąć zespół orbitalny na inną, wyższą orbitę.

Statek towarowy typu „Progress" ma masę startową – 7 ton. Jego konstrukcja składa się z trzech podstawowych członów: towarowego z układem połączeniowym, składników uzupełnienia materiałowego oraz przyrządów i agregatów.

Układ połączeniowy opracowany według wzoru urządzenia cumowniczego załogowego statku transportowego „Sojuz" przeznaczony jest do mechanicznego łączenia statku ze stacją. Przez układ połączeniowy załoga przechodzi do transportowego członu statku. Pojemność wszystkich członów „Progressa-2" wynosi 6,6 m³ i może on dostarczyć na stację orbitalną do 1300 kg ładunków. Do wystrzelenia transportowego statku towarowego wykorzystywana jest taka sama rakieta, jaką stosuje się przy wprowadzeniu na orbitę statku „Sojuz". Kosmiczna ciężarówka umożliwia przedłużenie pracy załogi stacji „Salut-6" o dwa miesiące.

UWAGA, KOMETA!

Pragnę zawiadomić Czytelników TOMIKA o komecie, która jest aktualnie widoczna na niebie w gwiazdozbiorze Rysia (patrz mapka). Została ona odkryta pod koniec kwietnia br. przez astronoma kanadyjskiego R. Meiera. Jasność komety w trakcie ub. 30 dni zwiększyła się o pół wielkości gwiazdowej i nadal będzie rosła w miarę zbliżania się jej do Ziemi i do Słońca.

Piotr Krzywiec („Orion")
os. J. Strusia 10/21
31–808 Kraków

Żyjemy wśród pyłu kosmicznego

Chciałbym poruszyć temat, który nie był jeszcze omawiany. A mianowicie dotyczący pyłów kosmicznych i materii meteorytowej.

Ile pyłu kosmicznego, ile kilogramów lub ton materiału meteorytowego spada na Ziemię w ciągu roku? Liczni uczeni próbowali odpowiedzieć na to pytanie, przynajmniej w przybliżeniu. Do pierwszych prób należą oceny z r. 1941. Według tych danych na St. Zjednoczone spada corocznie 25 meteorytów, zaś na całą powierzchnię Ziemi ok. 2000. Łączna ich masa nie przekracza 200 ton (tym razem z pyłem kosmicznym). W r. 1946 w ZSRR otrzymano nowy wynik 2000 t rocznie. Inny uczony radziecki w trzy lata później uznał za poprawną ilość 2400 t rocznie. Niebawem jednak trzeba było zgodzić się na jeszcze większy wynik. H. Petterson zajął się badaniem pyłów kosmicznych i założył stację zbioru pyłów meteorytowych. Wybrał on miejsce wolne od zanieczyszczeń, których źródłem są obiekty przemysłowe. Z tego względu Hawaje wydały się Pettersonowi najwłaściwszym miejscem. Pobrał on liczne próbki powietrza na szczycie góry o wys. 2780 m n.p.m. a wydobyty z nich pył poddał analizie na zawartość niklu. Na pytanie dlaczego właśnie nikiel, odpowiedź jest prosta. Obecność niklu jest charakterystyczna dla meteorytów. W pyłach ziemskiego pochodzenia nikiel nie występuje. Petterson obliczył, że tysiąc metrów sześciennych powietrza zawierało średnio 14,3 mikrogramów niklu. Przeliczywszy tę ilość na zawartość pyłu meteorytowego otrzymano ilość 0,6 miligrama w 1000 m³ powietrza. Na pozór wydaje się to bardzo niewiele, ale przyjąwszy prędkość opadania pyłu meteorytowego, taką jak dla pyłu wulkanicznego po wybuchu wulkanu Krakatau, dochodzimy do ogromnej liczby, 14 mln ton pyłu meteorytowego spadającego na Ziemię w ciągu roku.

Wynik ten jest dyskusyjny. Petterson sam uznał tę ilość za przesadnie dużą i zredukował ją do 5 mln ton rocznie. Z tą ilością zgodziło się wielu uczonych i badaczy. Natomiast nie zasługują na wiarygodność wyniki otrzymane w oparciu o pomiary ilości meteorytów w okołoziemskiej przestrzeni kosmicznej, przeprowadzone przez odpowiednio wyposażone sztuczne satelity i sondy kosmiczne. Otrzymuje się w tym przypadku niewiarygodnie dużą ilość 36,5 mln ton pyłu na rok.

Pozostając przy najprawdopodobnej ilości – 5 mln ton pyłu trzeba powiedzieć, że dla przewiezienia tej ilości pyłu trzeba by użyć 500000 samochodów ciężarowych, które utworzyłyby kolumnę długości 5000 km. Jeśli jednak ilość tę rozłożyć równomiernie na całą powierzchnię Ziemi to na każdy metr kwadratowy powierzchni przypadnie zaledwie pięć dziesiątych mikrograma czyli pięć dziesięciomilionowych grama. Ta z kolei ilość mogłaby wydawać się znów bardzo mała gdyby nie to, że omawiany proces trwa przez wiele milionów lat. Jeśli zatem w ciągu 2 mln lat na każdy metr kwadratowy powierzchni globu ziemskiego spadnie 1 g materiału meteorytowego to ilość ta już coś znaczy. Przez ostatnie 100 mln lat – a jest to przecież okres niedługi w porównaniu z wiekiem Ziemi – nawarstwiło się już sporo materii pochodzenia kosmicznego, która przemieszana z materiałem skorupy ziemskiej, pokrywa pola, ogrody, ulice wielkich miast. Tak więc nasze życie rozwija się wśród tego pyłu kosmicznego.

Krzysztof Gałkowski
ul. Astronautów 10 m 20
02-154 Warszawa

tego bardzo nie lubię. Po drugie: ta historia zmieni opinię o naszym kraju. Będzie z niej wynikało, że w Polsce porywacze mogą działać bezkarnie.

– Co zamierzasz uczynić, przyjacielu? – zaniepokoił się Święty. – Chyba nie zechcesz poinformować o tej sprawie waszej milicji? To zaszkodziłoby panu Domini. Zrozum, ja pracuję dla niego. Los tego serialu także leży mi na sercu. jeśli milicja ujawni tę historię, nie tylko Domini, ale także i ja będę ośmieszony w opinii publicznej.

Tym razem to ja poklepałem go po plecach:

– Nie martw się, Templer – oświadczyłem. – Rozumiem, że musisz pilnować swego biznesu, on się wiąże z panem Domini i Dianą Denver. Nie zawiadomię milicji. Załatwię tę sprawę sam, we własnym zakresie.

– Jak to zrobisz?

– Po prostu, postaram się odnaleźć Dianę Denver i przyprowadzę ją na zdjęcia filmowe.

– A to świetne – ucieszył się Święty. – Jeśli zgodzisz się, chętnie ci pomogę. Nie mam może głowy do rozwiązywania zagadek, tak jak ty, ale bić się potrafię. A nie obejdzie się chyba bez bójek, prawda?

– Czuję się zaszczycony – skłoniłem się Świętemu.

– W takim razie zaczekaj tu na mnie, przyjacielu. Wrócę do pałacu i pozostawię liścik do pana Domini. Powiadomię go, że ruszam w pościg za porywaczami i poproszę, aby się nie niepokoił z powodu mojego zniknięcia.

Templer zniknął w ciemnościach, kierując się do pałacu, a ja oddaliłem się o dwa kroki od ścieżki i usiadłem za pniem starego parkowego drzewa. Od chwili porwania Diany Denver minęła godzina. Diana Denver i porywacze znajdowali się już chyba bardzo daleko. Zapewne zaprowadzili ją do samochodu, który stał na bocznej drodze w pobliżu parku pałacowego, i odjechali. Dokąd? Nie sposób było tego ustalić, ponieważ mieli dziesiątki możliwości, jako, że Diana Denver nie była w rzeczywistości porwana, ale poszła z nimi dobrowolnie. W najlepszym razie mogli z nią pojechać po prostu do hotelu w Iławie lub Ostródzie. Mogli także po prostu zatrzymać się z nią w specjalnie wynajętym mieszkaniu w jakiejś pobliskiej wczasowej miejscowości, gdzie widok tak ładnej kobiety nie wzbudziłby niczyjej uwagi i gdzie nie nazbyt rygorystycznie traktowano formalności meldunkowe.

Gdzie więc należało szukać Diany Denver? Oczywiście tutaj, w Karnitach, bo tu znajdował się Domini, mózg całej tej afery. Albo w pobliskim urzędzie pocztowym, w którym łączono z pałacem wszystkie rozmowy telefoniczne. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że rzekomi porywacze, gdy już odwiozą Dianę Denver w bezpieczne miejsce, zatelefonują do swego mocodawcy, aby go powiadomić, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Gdybym miał urodę Delona, zapewne bez trudu mógłbym nakłonić nie znaną mi jeszcze panienkę obsługującą centralę telefoniczną, aby zdradziła mi, z jakich miejscowości i z jakich numerów w ciągu najbliższych kilku godzin dzwonił ktoś do pana Domini.

Była tylko inna trudność: producent filmowy zapewne przeprowadzał w ciągu dnia dziesiątki, jeśli nie setki rozmów telefonicznych, krajowych i zagranicznych. Jak w tym gąszczu rozmów zorientować się, która odbyła się z porywaczami? A poza tym nie miałem urody Delona...

Ale wraz ze mną miał działać Templer. Któraż panienka z centrali telefonicznej oprze się jego urodzie...

Tak rozmyślałem, obserwując migające między drzewami błyski latarki elektrycznej. To dwaj goryle Waldemara Batury przeszukiwali park po drugiej stronie wąwozu. Podczas kolacji wypili sporo wina,nie wierzyłem więc, aby czynili poszukiwania dostatecznie gorliwie i przekroczyli wąwóz. Z największym spokojem zapaliłem papierosa, aby dym tytoniowy odpędził ode mnie stada krwiożerczych komarów.

W międzyczasie ciemność zgęstniała, niebo zakryły niskie deszczowe chmury. Zrobiło się chłodniej. Zerwał się wiatr i zaszeleściły głośno liście krzaków i drzew, porastających parkowe wzgórza. Ten szelest to cichł zupełnie, to znów narastał, niekiedy odnosiłem wrażenie, że ktoś zbliża się ku mnie niewidoczny w mroku, słyszę trzask gałązek pod czyimiś nogami. Spojrzałem na zegarek i uświadomiłem sobie, że wkrótce nadejdzie północ. Przypomniałem sobie, że tuż obok znajduje się cmentarzyk pełen starych rozwalających się grobowców i tu gdzieś pochowano piękną Christę, która popełniła samobójstwo...

I nagle poczułem na swoim ramieniu czyjąś zimną dłoń.

Cdn.

14

SZCZYT WRÓŻKI
CZYLI SABATY I POSIEDZENIA CZAROWNIC

Tekst M. WOJTYSZKO
Rysunki R. SIKORA

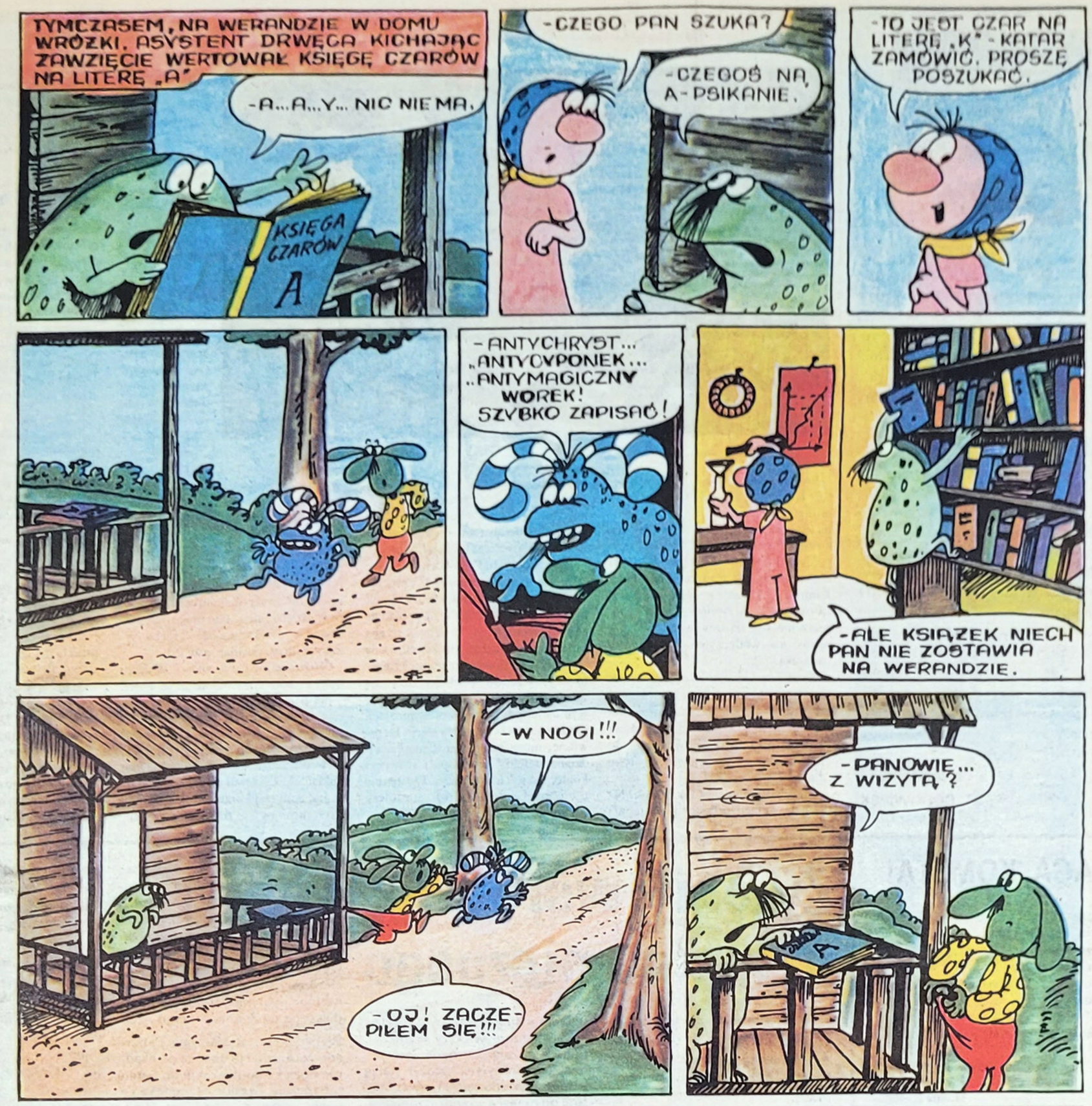

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 400-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Szarlota Paweł

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. 4545/G S-30

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

ANTYBIOTYK Z MORZA

USA (PAP). Biolodzy amerykańscy odkryli, iż morskie organizmy – świdraki, które w dawnych wiekach przysparzały wiele kłopotów żeglarzom przewiercając drewniane kadłuby statków – wytwarzają substancję bakteriobójczą. Substancja ta – jak wykazały badania – jest znacznie silniejsza od antybiotyków, jakie zna współczesna farmakologia.

Charakter tego związku nie jest jeszcze znany. Przypuszcza się jednak, że może on posłużyć za podstawę do wytwarzania całej gamy leków, tym bardziej, że współczesna farmakologia chętnie korzysta z surowców naturalnych.

Źródłem odkrycia stało się spostrzeżenie, iż drewno zaatakowane przez świdraki – nie gnije. Wydzielając środek bakteriobójczy, ,,pomysłowe" organizmy dbają w ten sposób o własną higienę odżywiania. (jd)

Templer położył mi dłoń na ramieniu:

– Szkoda czasu, przyjacielu. Powinniśmy natychmiast ruszyć w pościg za porywaczami Diany.

Opuszczaliśmy jadalnię, kiedy Batura raptem jak gdyby oprzytomniał. Doszedł chyba do wniosku, że jeszcze nie dosyć mnie wplątał w tę historię i upokorzył. Nadeszła okazja, aby pod pretekstem porwania spuścić mi manto.

– To oni porwali Dianę Denver – dramatycznym gestem wskazał nas gorylom – Brać ich na przesłuchanie!

– Uciekajmy ile sił w nogach – krzyknąłem do Templera.

I pierwszy rzuciłem się za róg pałacu, a potem na ścieżkę prowadzącą do parku. Templer biegł tuż za mną, a za naszymi plecami rozlegały się nawoływania goryli.

– Przepadli w ciemnościach... Trzeba wziąć latarkę elektryczną... Kto ma latarkę?...

Okryła nas ciemność starych drzew. Przebiegliśmy przez wąwóz i po drugiej stronie zatrzymaliśmy się w pobliżu cmentarzyka z grobowcami Albedyllów. Tutaj, oddzieleni od pałacu głębokim wąwozem – byliśmy nareszcie bezpieczni. Należało naradzić się, co robić dalej.

– Czy nie zastanawia pana, przyjacielu – odezwałem się do Świętego – że pan Pierre Tendron z ,,Cine-tele-revue" przybył do Karnit w tym samym czasie, gdy porwano Dianę Denver?

– Tak, to wygląda dość dziwnie. Aż taki zbieg okoliczności?

– Porwanie Diany Denver tylko wtedy będzie miało sens, jeśli wiadomość o nim przeniknie do prasy filmowej na całym świecie. Zorganizowano więc porwanie i wezwano pana Tendron. W ten sposób nie znana nikomu aktorka Diana Denver zwróci na siebie uwagę publiczności, co zwiększy zainteresowanie waszym nowym serialem i wpędzi panu Domini do kieszeni nowy plik dolarów.

– Sugerujesz, że to Domini był głównym organizatorem porwania? – zdumiał się Święty.

– A któżby inny? Waldemar Batura wykonywał tylko jego polecenia. Za trzy dni Diana Denver wróci do Karnit zdrowa i cała, a pan Domini stwierdzi, że stało się to na skutek ,,opłacenia" przez niego okupu. Diana Denver odegra przed panem Tendronem wspaniałą scenę, opowiadając, jak to była więziona w jakiejś tajemniczej ,,melinie", o której, niestety nie potrafi opowiedzieć, gdyż przez cały czas miała zawiązane oczy. I wszyscy będą zadowoleni: Batura, ponieważ pan Domini weźmie go ze sobą za granicę. Diana Denver, ponieważ stanie się sławna. Domini nie wyda ani grosza na reklamę, którą za darmo zrobi mu Tendron. A ten ostatni z uwagi na honorarium jakie za sensacyjną historię otrzyma od swej redakcji, nie będzie zbytno przywiązywał wagi do szczegółów porwania.

– Świetnie pomyślane – stwierdził Templer.

– Owszem. Genialnie. Nasza milicja dopiero z publikacji na Zachodzie dowie się o porwaniu aktorki. A kiedy przyjedzie do Karnit i zażąda od pana Domini dokładnych wyjaśnień o tej sprawie, ten wykręci się od zeznań, stwierdzając, że został przez porywaczy zobowiązany do tajemnicy, której w obawie przed ich zemstą postanowił dochować.

Święty poklepał mnie po plecach.

– W takim razie w ogóle nie ma sprawy, przyjacielu. Wracajmy każdy w swoją stronę. Dianie Denver nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Możemy spać spokojnie.

– O, przepraszam bardzo – oburzyłem się. – Moim zdaniem jest sprawa, i to poważna. Po pierwsze: zrobiono ze mnie durnia, a ja

Dokończenie na str. 7